odgłosy

Nr 9 (313)
1. III. 1964 R.
CENA 1 ZŁ

TYGODNIK ROK VII

W numerze: ● Jubileusz Józefa Pilarskiego ● Małżeństwa studenckie ● Inżynierowie mówią ● Traktat o miłości ● Reportaż z Nowego Jorku ● Punch ● Recenzje ● Felietony ● Polonica

JOHANNA MOOSDORF

KRĘGI NA WODZIE

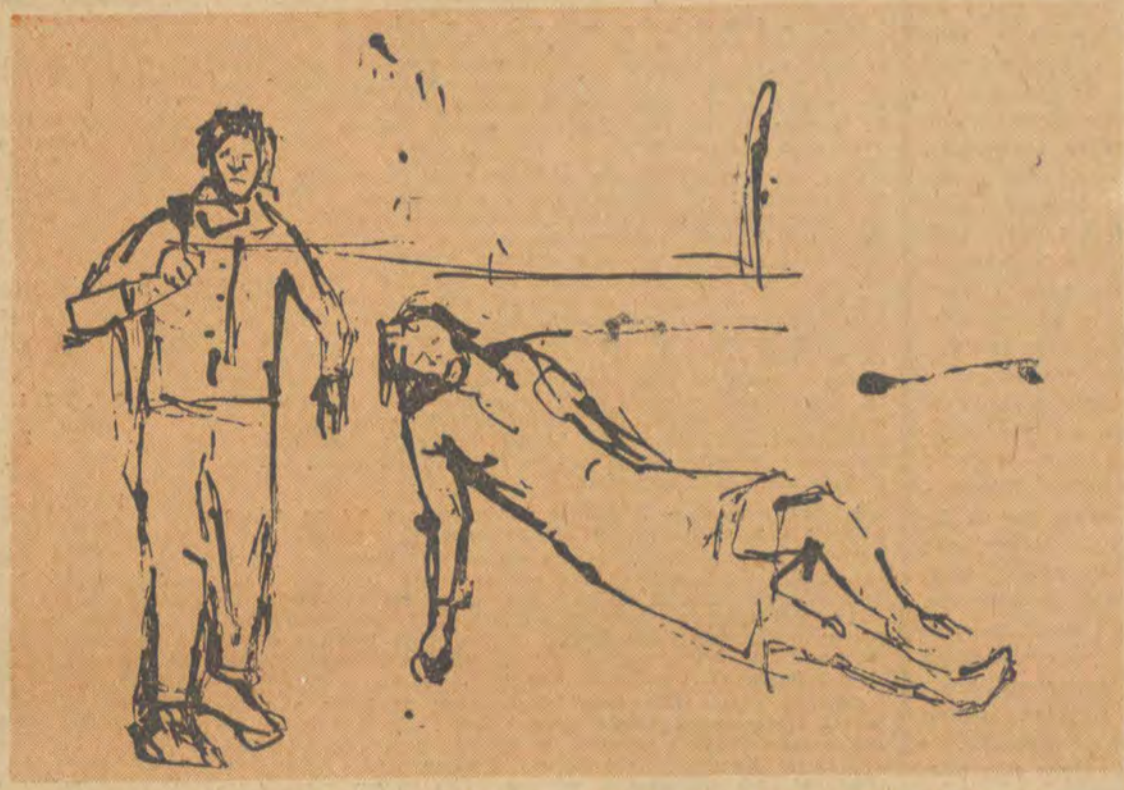

W nagłej ciszy Stefan Jensen usłyszał bicie własnego serca. Jeszcze senny i zamroczony widziadłami uniósł głowę z poduszek i zaczął nasłuchiwać. Deszcz już nie szemrał, wiatr także zamarł, a Lena — lecz Leny przy nim nie było, a to, czy pada, czy nie pada, powinno mu być obojętne, słuchać szumu deszczu, wariacja, jak gdyby coś od tego zależało. Odrzucił kołdrę, zerwał się i przez szerokie rozsuwane drzwi wyszedł na werandę przed sypialnią. Oparł się ciężko o balustradę i spojrzał w górę na nocne niebo, które się już nieco przejaśniło, nagle zaczęły ćwierkać świerszcze, na wieży kościelnej wybiła trzecia, jakiś spóźniony rowerzysta w błyszczącej narzutce, skulony nad kierownicą przemknął obok sztachet domu Jensena, z ulicy dobiegał odgłos człapiących kroków, to chyba Bredel, wachmistrz, robi swój pierwszy ranny obchód: życie idzie dalej, dzień po dniu i nawet nocą, nikt mi nie pomoże, jeśli sam sobie nie pomogę, pomyślał Stefan Jensen, wrócił do pokoju i zapalił jednego z tych mocnych papierosów, do jakich się ostatnio przyzwyczaił. List przyszedł z Palermo, ale Lena nie podała nadawcy, co mogło oznaczać jedynie to, że nie życzyła sobie odpowiedzi, lub może świta jej już myśl o rozłące, wybij to sobie z głowy, mój aniele. Zostaniesz przy mnie. Czy zostaniesz? Łyknął szybko kieliszek koniaku. Może będę znowu samotny, zawsze byłem samotny, nawet z Ewą, ale wtedy byłem dumny ze swej samotności i nie wiedziałem co to słabość.

Otarł czoło, było wilgotne.

Deszcz nie przyniósł odświeżenia. Ta parna atmosfera była niemal bardziej przygniatająca niż przedtem upał. W takim upale nie powinien pan pić koniaku, powiedział Günter Beckermann, a Stefan Jensen czuł niemal, jak jeżą mu się włosy na karku, bo teraz nie miał już wątpliwości, że ten wścibski chłopak dostrzega jego sflaczałość i rozpacz. Czy przed trzema miesiącami ośmieliłby się dawać mu rady? Nie, nie ośmieliłby się, i to musi się zmienić; nie mogę być tym wiecznie udręczonym przedsiębiorcą, cierpiącym na nadciśnienie. Więc Dorotea żyje i w jakiś sposób udało się jej skontaktować z Leną, jak ona to zrobiła, nigdy nie miała właściwie smykałki do takich spraw.

Nie miał już niestety listu Leny, ale to nonsens żałować impulsu, który kazał mu go zniszczyć, ona żyje, Dorotea żyje, tylko to było ważne, a ja nie wiem jak i gdzie żyje, a gdyby nawet któregoś dnia poczciwy Kurt wytrzasnął jej adres, to mimo to nie będę mógł przeszkodzić,

DALSZY CIĄG NA STRONIE 5

BOGUSŁAW HOLUB

BIAŁY DYM

— Nie bede.

— Pójdzies Konus, bo kto ma to zrobić.

— Mówiłem nie bede i dość.

— Zhardział gnojek jeden, ale jeszcze przyjdzie — powiedzieli do siebie.

— Brzytew spaliłem i nigdzie już nie pójdę. Róbta to same.

— A starego Groble oporządziłeś.

— Ale to był ostatni.

— Ksiądz się na ciebie będzie gniewał.

— Księdza mogę oporządzić, Wujka nie.

Zaczęli pomstować, lecz ja stałem przed furtką i nie patrzyłem na nich. Więc poszli.

Ojciec mnie nauczył tej roboty jeszcze przed wojną. On szedł śmiało. Nie bał się trupów. Nie miał innego wyjścia. Tylko ta brzytew. W domu pięcioro drobiazgu. Jeść wołali. Jak ojciec pomarł, ja się wziąłem do tej roboty. Płacili dobrze. Więc szłem z brzytwą po wsiach, do Działoszyna, a nawet Pajęczna. Robotę robiłem dobrze. Po uszach przeciągłem i pod szyją. Pachnidłem skropiłem. Różu nałożyłem, pudru. Ksiądz mnie chwalił, bo miał ładnych nieboszczyków.

Jak przyszłem do cementowni, rzuciłem oporządzanie. Tu przecie zarobię dość. Teraz to nie mogę patrzeć na umrzyków. Nawet swojego wujka nie oporządziłem. I chociaż wszyscy lecieli do Lelit obejrzeć teściową Staszka Mandata, ja nie poszedłem...

Staszek robił jakiś czas ze mną na tej budowie. Milczek. Nawet jak go inżynier zeklął, to też milczał. Nie miał zresztą co mówić. Leń był. W domu tylko się stawiał. Do żony z łapami skakał. To żonina matka do niego. A on za toporek i ciap teściową po głowie. Ubił na miejscu. Wtedy to nawet strażnicy cementowni chowali się ze strachu. Bo Staszek ukrywał się na budowie. Idę raz o zmierzchu obok silosów, a wtem ktoś mnie bierze za ramię. Patrzę, a to stoi Mandat.

— Widziałeś moją teściową?

— Nie.

— To dobrze. Nie chodź tam, bo ciebie oporządzę.

— Przysięgłem.

— Przysięgnij, że nie powiesz żeś mnie widział.

— Przysiągłem.

— Wiesz Konus, co? Ja ich tu wszystkich zadziabie. I inżyniera Maciejewskiego i tego z rady, Matuszewskiego i każdego kto mi się nawinie.

Złamać przysięgę diabłu nie grzech. Poleciałem do dyrekcji i mówię im, żeby się mieli na baczności. No i złapali Mandata. Mieli go obwiesić w Sieradzu. I chyba to zrobili.

Bandyta, bo bandyta, ale ja go wydałem. Źle mi z tym było. Chodziłem do Szymańskich na bimber. Innych za picie wyganiali z cementowni. Musieli tak robić. Raz to się o mało pięciu nie zabiło przez to picie. Idzie inżynier Maciejewski koło silosów i za głowę się łapie. Silosy cementowe wysokie na trzydzieści metrów. A tu z krawędzi zwisają nogi, z drugiej strony ręce i głowa. Wlazł Maciejewski po hakach na górę. Myślał, że poumierali. Mówił, że im z gęby jechało jak z latryny. Brał po jednym jak wrony z gniazda, spinał do siebie paskiem od portek i tak ich znosił na dół. Poukładał na ziemi jeden obok drugiego a oni nic. Zlali ich wodą i wykopali z roboty.

Widzę jest źle. Przestałem pić. Ale inni pili jeszcze długo. Szymańscy mieli domek i działkę nie wykupioną przez cementownię w środku baraków hotelu robotniczego. Wystarczyło zrobić parę kroków i już można się było upić. Milicja niby to wiedziała, że tam pędzą bimber, ale nigdy Szymańskiego nie trafiła przy robocie. Wreszcie ich wywłaszczyli. Pozostawioną chałupinę ktoś w nocy podpalił. Popiół tylko został. Dali Szymańskim trzy pokoje z kuchnią w nowych blokach cementowni, ale je rzucili. Pojechali na Zachód po szczęście.

Ludzie to nie muchy. Każdy inny. Można by gadać długo. Idź pan się zagrzać, boś pan zsiniał jak nieoporządzony nieboszczyk, a ja się taczką przejadę — powiedział do mnie.

Popchnął przed siebie jednokółkę napełnioną żelastwem i zgięty w pół pojechał z nią przez podwórze. Dreptał po zaśnieżonej dróżce przytupując nogami. Mały Konus — jak nazywają go jego krewni i znajomi.

— Prawda to co mi Konus opowiadał? — pytam dyrektora Miłanowskiego.

— Prawda.

— To on nieboszczyków golił?

— Kto go wie, może i golił. Tu

Dokończenie na str. 3

OBRAŻENI

Kim są obrażeni? Ba! Redakcja nie posiada jeszcze wyczerpujących danych statystycznych na ten temat, a systematyka gatunku jest dopiero we wstępnym opracowaniu. Lecz i tak można by już uchylić rąbka tajemnicy, to i owo zdradzić. A więc (oczywiście na zasadzie pełnej dyskrecji) podział zasadniczy: obrażeni dzielą się na:

a. Obrażonych Czytelników i
b. Obrażonych Autorów.

Obrażeni Czytelnicy zostali na mocy jednogłośnie podjętej uchwały redakcyjnej objęci dobrodziejstwami przywileju: „Czytelnik ma zawsze rację". (N. B. jak wykazała praktyka naszego handlu z zasadą tą nie wiążą się żadne konsekwencje. Po prostu przyznaje sie rację, a potem kiwa głową: „Panie, co my na to możemy poradzić"). Tak czy owak, mamy w ten sposób załatwioną sprawę Obrażonych Czytelników, którzy źlą się na nas za to, że:

- „Odgłosy" drukują nowoczesną poezję;
- pismo ma niski poziom;
- za dużo tematyki kulturalnej;
- brak na naszych łamach konkursów w rodzaju „Najpiękniejsza łodzianka";
- „Odgłosy" są nudne i nie prowadzą działu krzyżówek
- zapomnieliśmy o zasługach Iksińskiego itd., itd.

Więc, jako się rzekło, wszystko to święta racja. Przyznajemy ją z zasady Czytelnikowi. Kropka.

Trudniejszy natomiast jest dylemat Obrażonego Autora:

- bo „Odgłosy" Go nie drukują, lub drukują zbyt rzadko;
- bo „Odgłosy" drukują Go w sposób niewłaściwy (zbyt mała czcionka, nie na tym miejscu gdzie trzeba, np. pod artykułem Iksińskiego, a nie nad nim);
- bo „Odgłosy" nie realizują jego, Autora, edytorskich koncepcji.

I to są te najprostsze wypadki, które po paru nocnych rodaków rozmowach, rokują poprawę. Cięższe są przypadki, kiedy to Autor czuje się Obrażony, bądź dlatego, że:

- „Odgłosy" drukują Iksińskiego;
- bądź też dlatego, że „Odgłosy" zlikwidowały Iksińskiego, który jest niezaprzeczalnym talentem...

A co robić, jeśli autor jest obrażony, bowiem „Odgłosy" stały się organem grupy Iksińskiego? Lub też w innej wersji: za to, że „Odgłosy" niszczą wszystkich, którzy cenią Iksińskiego?

I tak oto koło się zamyka. A Obrażeni mijając nas, nie odpowiadają na pokorne nasze ukłony. W kawiarniach na nasz widok płacą za swoje pół czarnej i manifestacyjnie opuszczają lokal. A swoje teksty proponują redakcji już nie swojskim, wypróbowanym sposobem (z rączki do rączki) a przez Osoby Trzecie. Też już obrażone.

Czy nie są to symptomy wskazujące na pilną potrzebę ogłoszenia powszechnej amnestii? I dla „Odgłosów", i dla Obrażonych?

odgłosy w świecie

Z francuskiego punktu widzenia

Problem cypryjski, od pewnego czasu jedno z najważniejszych wydarzeń politycznych, jest szeroko komentowany również we Francji. Francja, jak wiadomo, odmówiła swojej pomocy przy uregulowaniu stosunków turecko-cypryjskich i nie zgodziła się na wysłanie (w ramach planów NATO) swoich wojsk na Cypr. To stanowisko rządu francuskiego implikuje oczywiście odrębne spojrzenie na konflikty toczące się na Cyprze. Potwierdzają to choćby liczne artykuły zawarte w prasie francuskiej na przestrzeni kilku ostatnich tygodni.

Komentator polityczny paryskiego magazynu "l'Express" w artykule zatytułowanym „Nieszczęście Cypru" daje wyraz francuskiej postawie wobec wypadków cypryjskich. „Gdybyż to była tylko sprawa Greków i Turków" — otwiera swoje rozważania Michel Bousquet. I stwierdza dalej, że rzecz komplikuje się dopiero wtedy, gdy weźmie się pod uwagę wpływy obcych państw na Cyprze.

„Problem Cypru nie jest problemem cypryjskim. Nieszczęściem Cypru jest nie tylko to, że ludność jego jest w 82 procentach grecka, a w 18 turecka. Te dwie społeczności koegzystowały przez kilka wieków i byłoby słuszną rzeczą pozwolić im, by same załatwiły swoje nieporozumienia.

„Nieszczęście Cypru leży w tym, że od dziesięciu lat jest on główną anglosaską bazą militarną we wschodnim rejonie Morza Śródziemnego. Masakra 300 osób od czasu ostatnich świąt Bożego Narodzenia, konieczność wezwania na pomoc międzynarodowej policji, niebezpieczeństwo wojny grecko-tureckiej — są w nikłym stopniu odbiciem niechęci między turecką a grecką ludnością wyspy. Znacznie większy wpływ na te wypadki miały plany strategiczne obcych mocarstw, które to mocarstwa uznały od pewnego czasu Cypr za teren znakomicie spełniający warunki ich planów."

Michel Bousquet przypomina główne wydarzenia polityczne w historii małej wyspy w ciągu ostatnich 20 lat. Największą wagę ze względu na aktualne konflikty miała — według niego — konstytucja cypryjska, najdłuższa i najszczegółowiej opracowana konstytucja na świecie. Zapewniała ona znaczny wpływ mniejszości tureckiej na decyzję parlamentu, gdyż ludność turecka (stanowiąca 18 proc. społeczności cypryjskiej) miała prawo do 30 proc. ogólnej ilości miejsc w parlamencie. Wiceprezydent turecki mógł odrzucić bez prawa apelacji każdą decyzję rządu w sprawie polityki zagranicznej. Historia Cypru — stwierdza komentator „l'Express" — rozegrała się na linii Ankara — Ateny, nie bez wpływu jednak tych, którzy mieli swoje bazy strategiczne na Cyprze. Decyzja Makariosa, wprowadzająca zmiany w konstytucji, mogła zapewnić Cyprowi realną niezależność państwa niepodległego, ale jego niepodległość pokrzyżowałaby plany militarne państw obcych: polityka Makariosa jest wprawdzie polityką o orientacji prozachodniej, nikt jednak nie wie jaki będzie jego następca, a zmiany w konstytucji nie są rzeczą łatwą do przeprowadzenia. Taka jest prawda o interwencji Zachodu w sprawie Cypru — konkluduje Bousquet. Za pozorną chęcią udzielania pomocy wyspie kryją się własne, chytrze obmyślane plany.

A jakie jest wyjście z obecnych zamieszek na Cyprze? Bousquet widzi dwie drogi: „Pierwsza, to rzeczywista, niezaprzeczona wolność państwa cypryjskiego. Trzeba, by wpływ neutralny, zapewniony przez ONZ, doprowadził do uporządkowania stosunków między grecką, a turecką ludnością wyspy i stworzył odpowiednie warunki dla istnienia państwa suwerennego. Ale ta droga pozostaje w konflikcie ze strategią zachodnio-europejską i amerykańską. Drugie wyjście sprowadza się do podzielenia wyspy między Grecję i Turcję. Ta ewentualność jest przedmiotem rozważań strategów Zachodu, którzy złym okiem patrzą na postępujący szybko rozwój polityczny Grecji i Turcji".

Co wobec tego pozostaje? Czekać — odpowiada autor artykułu. Czekać, aż anglosasi stracą ostatnie pozycje na ziemiach arabskich, Lub czekać, aż bazy militarne na lądzie stałym stracą swoją rację istnienia. Wtedy Cypr będzie wolny. „Ale ten dzień — stwierdza Bousquet — nie wydaje się bliski".

„L'Express" — oprac. **A. P.**

EWA SIEMIŃSKA

FILM miesiąca

KANDYD
czyli narodziny filmowego Woltera

Kiedy w 1759 r. Wolter wydawał swoją najlepszą powiastkę filozoficzną, musiał — dla uniknięcia prześladowań — uczynić to bezimiennie. „Kandyd, czyli optymizm" wyszedł więc jako „dzieło przełożone z niemieckiego rękopisu doktora Ralfa". Jak dalece usprawiedliwiona była taka ostrożność wskazuje fakt, że wkrótce po wydaniu powiastka została spalona publicznie przez kata w Genewie.

Dwa wieki, które minęły od tego czasu, przyniosły dziełu wiele dobrego „na tym najlepszym z możliwych światów". Gdy osiemnastowieczny Kandyd odrodził się w 1960 r. w filmowym Kandydzie Norberta Carbonnaux, miejsce straszliwego kata zajęli na szczęście cenzorzy. I mimo, że taśma filmowa jest znacznie łatwiej palna niż papier, nie ulegli pokusie wydania jej na pastwę płomieni. Jak przystało przykładnym wychowawcom, postanowili barbarzyńskiemu dziełu nadać tylko trochę ogłady. Francuska cenzura cięła film... 18 razy, wydając równocześnie zakaz eksportu. Zakaz cofnięto po pewnym czasie. W prawdziwe zakłopotanie wprawiło to z kolei zagraniczną cenzurę, która wspaniałomyślnie przywracała w kopiach fragmenty usunięte we Francji, a wycinała inne, zależnie od aluzji lokalnych. W ten sposób powstało w kinematografii współczesnej dzieło — fenomen na miarę czasu: film z częściami zamiennymi.

A publiczność? — Przekorna i nie znająca się na sztuce, przyjęła film entuzjastycznie lub co najmniej przychylnie.

Zgoła po rycersku zachowała się wobec „Kandyda" krytyka, zadając kłam definicji Woltera, iż krytyk to taki „malkontent, który zarabia na życie mówieniem źle o każdej sztuce i każdej książce: nienawidzi wszystkiego, co ma powodzenie, jak eunuchy nienawidzą ludzi z wigorem; to jeden z owych płazów literackich żywiących się błotem i trucizną; zwykła wesz kałamarzowa" (labuś do Kandyda).

Krytyka uznała „Kandyda" Carbonnaux za jeden z najlepszych satyrycznych filmów francuskich i nie wahała się go ocenić jako godnego partnera książkowej powiastki filozoficznej. Duch „Kandyda" pozostał w filmie ten sam — stary, buntowniczy duch wolteriański w inne tylko ubrany ciało. Okazało się że ta reinkarnacja obu „Kandydom" wyszła na dobre.

Film Carbonnaux jest na wskroś współczesny. Wydarzenia odbijające się w krzywym zwierciadle ekranu dotyczą okresu ostatniej wojny i lat pookupacyjnych. Tym większe zdumienie musi więc ogarniać widza, że ta podwójna adaptacja dzieła literackiego — dla innego okresu historycznego i nowej, odmiennej sztuki — nie naruszyła pierwowzoru. Zachowała jego błyskotliwą, skrzącą dowcipem formę, lapidarną dosadność sformułowań. Z tą samą ironią patrzy Carbonnaux na ludzi i wydarzenia. Tak samo bije w nich ośmieszeniem, smaga zjadliwością; przybiera namiętny ton człowieka walczącego z pasją z potwornym złem na tym „najlepszym z możliwych światów". Czyni to w formie tak lekkiej, tak pełnej kapitalnego humoru, że widz śmieje się szczerze w momentach, które gdzie indziej budziłyby w nim grozę. Ale jest to śmiech — oręż, śmiech sceptyka. Bo sceptyczny jest już sam tytuł. Monopol na optymizm zostawia Carbonnaux bardzo jednoznacznie określonej grupie ludzi. Candide znaczy bowiem po francusku naiwny. A pełny tytuł dzieła brzmi: „Kandyd, czyli optymizm XX wieku".

Tym, co najbardziej zadziwia widza, jest jednak precyzyjna wręcz wierność treściowa filmu. Carbonnaux zmienił tylko daty, tu i ówdzie narodowość i nazwisko, wyrzucił trochę mniej ważnych epizodów, skreślił kilka podrzędnych postaci i — z konieczności — poskracał dialogi. Dialogów dadanych jest w filmie niewiele. Odmienne są historyczne sytuacje, ale to tylko zmiany powierzchowne, czysto formalne. Sens filozoficzny, nasycenie ideowe tych sytuacji pozostało to samo.

Co to takiego „optymizm"?

— Ach — to obłęd dowodzenia, że wszystko jest dobre, kiedy nam się dzieje źle".

(KAKAMBO — KANDYD)

„Czymże jest ten świat?

— Czymś bardzo niedorzecznym i bardzo ohydnym".

(KANDYD — MARCIN)

Jak w takim świecie radzić sobie ma człowiek?

„Pracujmy nie rozumując — to jedyny sposób, aby życie uczynić znośnym".

(MARCIN)

A cel istnienia?

„Ale ostatecznie w jakim celu stworzono ten świat?

— Abyśmy się wściekali..."

(KANDYD — MARCIN)

Toteż nie na żarty irytował się Wolter, rozjątrzał Carbonnaux. Wybrali groźny oręż: ostrą satyrę, groteskę, miejscami wręcz pamflet polityczny. Zgodną i surową cenzurkę wystawili ludziom i światu. Ta jednomyślność oceny jest właśnie w filmie najbardziej niepokojąca. Dwa wieki dzielą przecież Carbonnaux od Woltera! Jeśli filmowy „Kandyd" mówiąc o naszych czasach w niczym nie narusza wymowy tekstu osiemnastowiecznego, to albo tak niewiele świat zmienił się przez lat dwieście, albo, co gorsza — zło, o którym pisał filozof, uważa reżyser za ponadczasowe. Innego tłumaczenia nie ma. Ocena ta odnosi się co prawda tylko do części współczesnej rzeczywistości, ale i tak jest wystarczająco groźna. Co ciekawe — dwudziestowieczny Kandyd skrzętnie omija w swych wędrówkach kraje zza „żelaznej kurtyny". Natomiast cały Zachód dostaje się pod pręgierz satyry. Niepokojące jest początkowe memento filmu:

WEDŁUG ORYGINALNEGO SCENARIUSZA
PANA FRANCOIS MARIE AROUET
ZWANEGO VOLTAIRE
NATCHNIONEGO TRZĘSIENIEM ZIEMI W LIZBONIE
— 30.000 ZABITYCH

K A N D Y D
C Z Y L I O P T Y M I Z M X X W I E K U
ZREALIZOWANY PRZEZ PANA
NORBERTA CARBONNAUX
NATCHNIONEGO WYBUCHEM W HIROSZIMIE
— 300.000 ZABITYCH

Jest w „Kandydzie" Woltera jeden kraj sprawiedliwy, praworządny: utopijne Eldorado. I tylko on jeden nie ma swojego filmowego odpowiednika. To charakterystyczne. W tym właśnie momencie dochodzi do głosu różnica obu epok. Gdy filozof wydawał swoją powiastkę rzucał wyzwanie nie tylko samemu złu przeżerającemu rzeczywistość, ostrze swej satyry kierował również przeciw konkretnym doktrynom filozoficznym: harmonistycznemu i optymistycznemu systemowi Leibniza oraz idealistycznej, utopijnej filozofii Rousseau, głoszącej, iż „wszystko jest dobre, gdy wychodzi z rąk Stwórcy, wszystko paczy się w rękach człowieka". Oba systemy filozoficzne są już dzisiaj anachronizmem. A wprowadzenie nowego ładu, który poprawia dolę człowieka, przywraca mu godność ludzką i jednakowe dla wszystkich prawa do człowieczeństwa przestało być sprawą utopii, stało się rzeczywistością. Walcząc z tym samym co Wolter złem, Carbonnaux adresuje więc film do innych przeciwników. Film ten jest znakomity przede wszystkim w swym antymilitaryzmie. Twierdzę, iż kpiarz — Carbonnaux prześcignął tu kpiarza — Woltera. Sceny wojskowe są pełne kapitalnego humoru. Pewien element grozy potęguje jeszcze efekt komizmu.

Świetny okazał się w praktyce pomysł wprowadzenia komentatora. Jego przytaczane z Woltera uwagi nadają filmowi specjalną ironiczną perspektywę, przekazują w najwierniejszej formie cytatu wartości powiastki filozoficznej. Obraz filmowy dzielnie sekunduje wolteriańskiemu słowu. Duża w tym zasługa znakomitych aktorów Jean — Pierre Cassela, Pierre Brasseura i Michel Simona.

Zaskakujący pomysł adaptacji dla filmu powiastki filozoficznej zakończył się wielkim sukcesem.

POLONICA

TAJEMNICA SUKCESU POLSKI

Wiele już pisano w Europie o łódzkiej Wyższej Szkole Filmowej, sławiąc jej program, metody nauczania i osiągnięte rezultaty. Niedawno ukazał się znowu artykuł w „Observer" (9. II.), pióra Johna Ardagh, pt. „Tajemnica sukcesu Polski", poświęcony łódzkiej uczelni filmowej. Autor charakteryzuje jej studentów, wśród których znajduje się czterech Brytyjczyków, metody rekrutacji i nauczania, podkreśla wpływ i znaczenie szkoły w kształtowaniu kinematografii polskiej. Podaje, że z tej uczelni właśnie wyszli dwaj późniejsi twórcy: Wajda i Munk, którzy w czasie studiów wnosili ferment twórczy, dyskutowali całymi godzinami o sztuce filmowej. Autor kończy swój artykuł słowami: „Pod kierownictwem słynnego rektora, znakomitego historyka filmu, Jerzego Toeplitza, łódzka Szkoła Filmowa jest niewątpliwie najlepszą w świecie".

OPERA WARSZAWSKA W WIESBADEN

Opera warszawska zapowiedziała swój udział w Międzynarodowym Festiwalu w Wiesbaden, który odbędzie się w maju br. W ciągu dwu kolejnych wieczorów goście z Polski zaprezentują: „Straszny Dwór" Moniuszki oraz „Oedipus Rex", „Le Sacre du Printemps" i „Orpheus" Strawińskiego.

O KSIĄŻCE STANISŁAWA OSSOWSKIEGO

W tzw. zimowym numerze kwartalnika londyńskiego „20th Century", poświęconym tym razem problemom współczesnego małżeństwa, znajdują się również odpowiedzi na ankietę o książkach 1963 roku, które nie miały takiego rozgłosu, na jaki zasługują. Julius Gould w odpowiedzi wymienia pracę Stanisława Ossowskiego „Struktura klasowa w społecznej świadomości", stawiając ją w rzędzie publikacji o dużym znaczeniu.

JAN LENICA W WIESBADEN

Jan Lenica, grafik i twórca filmów trickowych (m. in. filmu „Labirynt"), przebywający od pewnego czasu w Paryżu, został zaproszony jako scenograf do Staatsoper w Wiesbaden (NRF), gdzie powierzono mu zaprojektowanie dekoracji i kostiumów do krotochwili muzycznej Wilhelma Killmayersa pt. „Yolimba". Premiera odbędzie się 15 marca br.

AUTORZY POLSCY W „SLOVENSKICH POHLADACH"

Miesięcznik słowacki „Slovenske pohlady", ukazujący się w Bratysławie, ogłosił spis autorów, których prace publikowane były na jego łamach w okresie 1963 roku. Wśród nich znajdujemy następujące nazwiska polskie: Kazimierz Brandys, Tadeusz Breza, Bohdan Drozdowski, Konstanty I. Gałczyński, Mieczysław Jastrun, Eugeniusz Kabate, Jerzy Krzysztoń, Stanisław J. Lec, Józef Lenart, Julian Przyboś, Adolf Rudnicki, Stanisław Różewicz, Władysław Terlecki, Julian Tuwim i Stefan Żółkiewski.

W PRADZE I NOWYM SADZIE

Praski miesięcznik „Host do domu", poświęcony krytyce, literaturze i sztuce, zamieszcza w numerze styczniowym br. artykuł pt. „Mrożek ma pecha". Jest to recenzja z wyboru opowiadań Mrożka, wydanych obecnie w Pradze w tłumaczeniu Otokara Bartoša. Recenzent zarzuca tłumaczowi, że pominął najświetniejsze utwory tego znakomitego autora, a włączył takie, bez których wybór zyskałby na wartości.

W czasopiśmie „Polja", wychodzącym w Nowym Sadzie, ukazała się „Rozmowa liryczna" K. I. Gałczyńskiego w przekładzie Milorada Živanćevića.

W SZWECJI O POLSKIEJ DRAMATURGII

Wychodzące w Sztokholmie czasopismo „Rondo" (nr 3) zamieściło artykuł Bohdana Drozdowskiego pt. „Teaterns betydelse" o polskim teatrze i twórczości dramatopisarskiej (przełożył artykuł Martin v. Zweigberg). W artykule mowa m. in. o dramatach J. Broszkiewicza, I. Iredyńskiego, L. Kruczkowskiego i J. M. Rymkiewicza.

POLONICA

BOGUSŁAW HOLUB

BIAŁY DYM

dalszy ciąg ze str. 1

przyszli różni ludzie. Byli a nawet są z wyrokami. Za bandy. Nie pytałem o to. Jeden o drugim mówi. Wystarczyło, że dałem komuś lepszą robotę, więcej zarabiał i już wiedziałem o nim wszystko. Zawiść jest najlepszym konfidentem. Ludzie nie muchy, każdy inny.

W pokoju było ciepło i przytulnie. Dyrektor Antoni Milanowski, inż. Maciejewski, przewodniczący rady zakładowej Matuszewski, jedli właśnie obiedni posiłek. Kościsty mężczyzna wszedł do pokoju zatrzymał się przy drzwiach. Gniótł w rękach watowaną czapę.

— Co chcecie Malczyk?

— Dom, panie dyrektorze. Chciałem go wykończyć.

— Czy ja wam przeszkadzam?

— Tak, ale po tym co wczoraj. Chyba zwolnicie z roboty.

— Kto wam to mówił?

— Tak sam sobie wymyśliłem. I chciałem to wiedzieć.

— Tamto co innego, a robota robotą. Tylko trzeba jej pilnować. Kończcie dom i nie plećcie bzdur.

Gdy wyszedł, spytałem czy coś przeskrobał.

— Nic. W zasadzie nic.

— To czego się boi.

— Skreślili go wczoraj z członków organizacji partyjnej. Myśli że to równa się skreśleniu z listy płac. Przeniesienia z wiejskiej organizacji nie załatwił. Składek rok nie płaci. Mówili mu parę razy. Załatw człowieku, co potrzeba. Nie zrobił. Tu trzeba było wszystko tłumaczyć od początku. Roboty uczyć. I uczyć myśleć. Dusze mieli jak osty. Nieprzystępne.

Kto przyjdzie, patrzy tylko na cementownię. Podziwia maszyny i urządzenia. Precyzję wykonania obiektu. Jeden gość z ministerstwa zwiedzając działy produkcji mówił z aprobatą. — Milion ton cementu rocznie dacie państwu. To ładnie. Tak, to jest ładny zakładzik. Obecny przy tym pierwszy sekretarz KW PZPR w Łodzi tow. Jędryszczak nie wytrzymał. — To jest spory kawał socjalizmu, towarzyszu — powiedział z naciskiem. — Tak, tak, to jest kawałek socjalizmu. — zgodził się gość — ładny kawałek socjalizmu. Nie jestem pewny czy całkiem to zrozumiał.

Fachowcy, specjaliści często liczą tylko efekty ekonomiczne zakładu. I według tych zasad nas oceniają. Oceniają w zasadzie słusznie. Ale poza tym wielkim obiektem zostają ludzie. Ja sam czasami przyglądam się im i myślę. Ludzie są wspaniali. Brzmi banalnie. Pamiętam ich od pierwszych dni. Przyszli surowi. Robota przeciekała im przez palce. Fizycznie słabi. Biedota ze skrawków biednej ziemi. Z Wydrzynowa, Niwisk, Makowiska, Trębaczewa, Lelit, Grondów, Działoszyna. Rzucili się falą na budowę. W pierwszym roku przypłynęło ich ze dwa tysiące. Pozostało pięciuset. Wzięliśmy ich w garść. Zdawało się, że do pięciu nie potrafią zliczyć. I widzi pan co zrobili przez trzy lata. Często mówi się: budujemy, pracujemy dla siebie. Ten slogan jest w Działoszynie konkretem. Wydaliśmy milion złotych na stanowisko pracy dla jednego robotnika. Ci, którzy budowali ten obiekt pracują teraz przy produkcji cementu. Mają robotę na miejscu. I zarobek. Malczyk chce wykończyć dom. Takich Malczyków jest tu setki. Przez trzy lata miejscowi ludzie zarobili u nas ponad pięćdziesiąt milionów złotych. Józef Majdzik wybudował piętrowy dom. Bronisław Krysiak

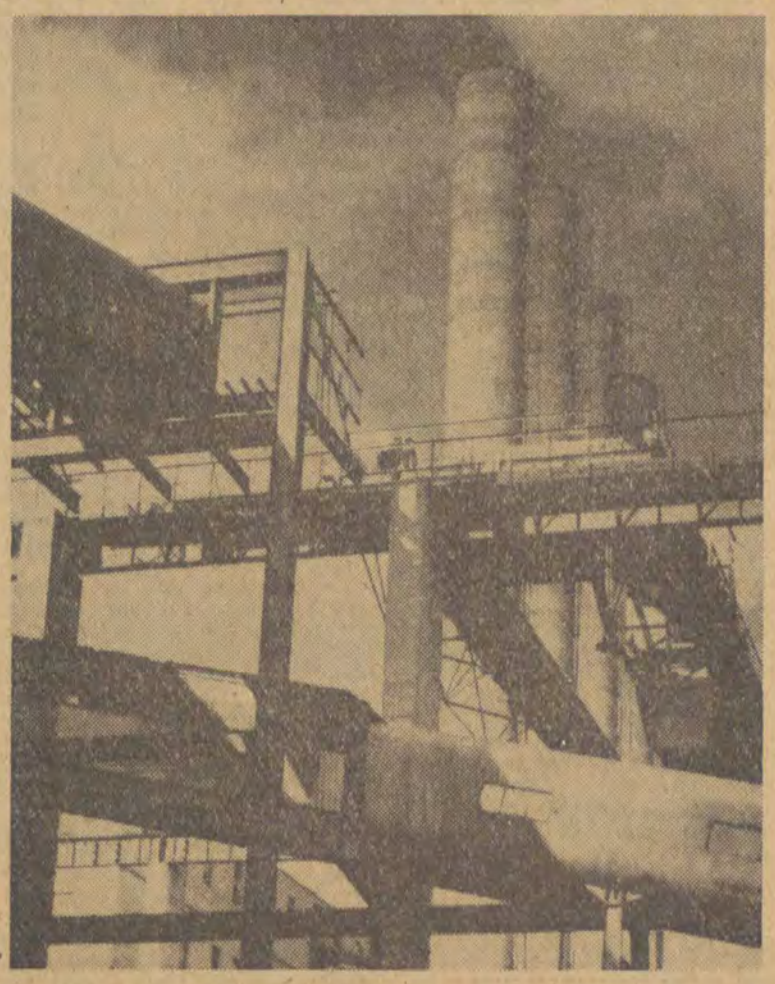

Fot. J. Głowacki

ma domek przy stacji. Gdzie się ruszyć wszędzie coś się buduje. W ciągu naszej obecności w Działoszynie, zbudowano w tym rejonie ponad tysiąc nowych mieszkań. Siedemset mieszkań to domki indywidualne. To tyle ile ma ich całe Pajęczno. Kamień wapienny pod ręką. Gotówka w cementowni. Rada zakładowa postarała się o zegarki dla załogi. Minęły dwa dni i zakupiono dwieście zegarków. Ludzie się urządzają po nowemu. Najwięcej kupują mebli, odzienia, pralek, aparatów telewizyjnych i radiowych. Skąd wiem? Z rady zakładowej. Biorą na raty. Ponad trzysta pięćdziesiąt zaświadczeń wydano już dla ORS. Młodzi łakomi są na motocykle. Na pięciuset ludzi, co trzeci ma już własny motor. Obroty w Gminnych Spółdzielniach wzrosły dwukrotnie. Ładny zakładzik, powiedział gość z ministerstwa. Zakładzik zostaje. Prawie tysiąc ludzi przez dziesiątki lat będzie z nim związanych na stałe. Oni i ich rodziny. Pozostaje szkoła socjalizmu. Znowu używam sloganowych określeń. Za dużo ich w obiegu. A jednak to jest jakaś szkoła patrzenia na świat. Stu pięćdziesięciu ludzi w organizacji partyjnej to jest coś. W ostatnim roku przybyło ich u nas tylu co w całym pajęczańskim powiecie. Tworzy się aktyw rozumny. Wie czego żądać od ludzi. Chociażby sprawa tego Malczyka. Nie udzielał się, statystował. Skreślili. Nie jego jednego. Ze dwudziestu przez cały czas. Przychodzą nowi. Obcy nie dostrzegają tych zmian. Obcy są sceptyczni. Niekiedy gotowi powiedzieć, że to o czym mówię, to agitacyjna prelekcja. Pan też może tak myśli.

— Nie panie dyrektorze, tak nie myślę. Pamiętam pierwsze tygodnie pana pobytu w Działoszynie. I innych łodzian którzy przygotowywali grunt pod cementownię. Tu gdzie stoi cementownia zbieraliśmy trzy lata temu grzyby. Tu był ładny lasek.

— Grzyby są i teraz. Tylko trochę dalej. Maciejewski przyniósł mi kilka dni temu słoik marynowanych grzybów.

— Kto to jest Maciejewski?

— Nasz operator, łodzianin. Ożenił się na wsi.

— To zostanie tu na stałe?

— Co zrobić, zostanie. Nie będzie sam. Cygan, Rybak, Tomaszewski, Lorentowicz i chyba jeszcze z dziesięciu tu pozostanie. Trzy lata na odludziu. To kawał czasu. Młodzi nie marnują go na próżno. Założyli domy, rodziny. Część mieszka w wybudowanych tu blokach, część na wsiach. Wiele dziewcząt przyjechało z mężemi z Łodzi, Warszawy, Katowic. Czterdzieści wiejskich dziewcząt pracuje w laboratorium cementowni. Mają zawód w ręku.

Z dwóch wysokich kominów cementowni „Warta" bez przerwy wylewa się biały dym. Widać te dymy z daleka. Unoszą się w powietrzu i nikną powoli. Dwa dalsze kominy zadymią za kilka tygodni. Na geografii gospodarczej Polski nakreślono przy nazwie Działoszyn, mały punkcik. Główny Księgowy Wielkich Inwestycji wypisał w swojej Księdze — wydano miliard złotych. W zasadzie Operacja „Warta" została zakończona. Jej dalszy ciąg przeniesie się na przyległe do cementowni wsie i tamtejszych ludzi. Ale dalszy ciąg nie będzie rejestrowany w księgach. Tak jak nikt nie zarejestrował decyzji małego Konusa. Tylko on wie, że brzytwa, którą jeszcze niedawno zarabiał na chleb, spłonęła w wielkim piecu cementowni. A inni nie chcą w to uwierzyć.

INŻYNIEROWIE

FELIKS BĄBOL

WYDZIAŁ WŁÓKIENNICZY NA POLITECHNICE ŁÓDZKIEJ ISTNIEJE OD 1947 ROKU, A PRZECIEŻ ZDARZAŁY SIĘ LATA, ŻE BYŁO WIĘCEJ MIEJSC NIŻ KANDYDATÓW, CO WYKLUCZAŁO JAKĄKOLWIEK KORZYSTNĄ SELEKCJĘ. SYTUACJA Z KANDYDATAMI POPRAWIŁA SIĘ WYRAŹNIE ODKĄD CETEBE POTROIŁA SWE KONTAKTY ZE ŚWIATEM. Z ROKU NA ROK ROŚNIE LICZBA FACHOWCÓW-WŁÓKIENNIKÓW, KTÓRZY JAKO DORADCY NASZYCH AGENTÓW HANDLOWYCH ODWIEDZAJĄ WSZYSTKIE KONTYNENTY GLOBU.

Choć powoli zmieniamy strukturę przemysłu w samej Łodzi na rzecz rozwoju innych gałęzi — nie włókienniczych, to przecież każdy już dziś wie, że nawet w latach 80-tych, Łódź będzie nadal miastem o przewadze produkcji włókienniczej nad jakąkolwiek inną.

Dr Janusz Szosland, ceniony łódzki naukowiec-włókiennik wyznał w przystępie szczerości:

— Czy pan wie, dlaczego przed laty jako student PŁ zmieniłem wydział mechaniczny na włókienniczy? Pociągnęły mnie wielkie możliwości jakie ten przemysł daje każdemu inżynierowi, pociągnął mnie ugór, szanse dla człowieka z wyobraźnią, rozliczne związki włókna z życiem i wiedzą.

W przemyśle włókienniczym na około 200 zatrudnionych przypada 1 inżynier, a 1 technik na 50 zatrudnionych. Dodajmy jeszcze, że prócz 2200 inżynierów zatrudnionych w przemyśle, 800 inżynierów pracuje w instytutach naukowo-badawczych, w centralnych laboratoriach i w administracji przemysłowej.

Jeden na dwustu to niewiele w porównaniu z innymi przemysłami. Tym bardziej, gdy szerokim gościńcem wkroczyła do tkalni, wykończalni i przędzalni współczesna wiedza. Prowadzi się już próby sterowania procesami produkcyjnymi przy pomocy elektronów. W „Warcie" częstochowskiej przy stole sterowniczym kieruje się całą przędzalnią. Prawo obywatelstwa zdobył sobie i w tym przemyśle mikroskop elektronowy. Powiązano już niektóre procesy produkcyjne z aerodynamiką (krosna pneumatyczne P 105).

Dzień dzisiejszy dobrze pracuje na rzecz rangi włókiennictwa wśród innych zawodów i przemysłów. Gdy włókiennictwo było rzemiosłem, człowiek stykał się z przedmiotem swej pracy przy krośnie czy w farbiarni jedynie przy pomocy swych zmysłów, ręką badał czy włókno jest mocne, czy słabe, wzrokiem oceniał jakość tkaniny. Gdy do fabryki weszły poliestry, nowe technologie i nowe maszyny — zmysły ludzkie już zawodzą, musiały je wyręczyć aparaty, analizy, wiedza. Stąd cieszy entuzjazm młodych inżynierów, którzy w fabryce znaleźli dla siebie tyle ciekawej pracy, cieszy nawet samo przyjście do fabryki młodego inżyniera-włókiennika.

Czekają tu na niego tematy do opracowania, sprawy do załatwienia. Tym bardziej że cały kadrowy „środek" w przemyśle — armia ponad 11 tys. majstrów nie jest w stanie trzymać ręki na pulsie nowej techniki. Jest w tej armii tylko 140 majstrów z wykształceniem wyższym, 2,5 tys. ze średnim, a 76 proc. tylko z podstawowym albo i bez niego. Więc każda fabryka czeka na inżyniera jak na zbawcę. Cały przemysł włókienniczy w tej chwili czeka na 3000 takich zbawców.

Mówił mi inżynier z Nowej Rudy:

— Ukończyłem Politechnikę Łódzką w 1957 roku, jako mistrz na tkalni pracowałem pół roku, potem kilka miesięcy jako kierownik kontroli technicznej, potem trzy lata jako kierownik produkcji i teraz jestem już naczelnym inżynierem fabryki.

Ale sekretarz generalny Stowarzyszenia Inżynierów Włókienników, mgr inż. Witkowski przytoczył inny przykład:

— 6 lat temu znajomy inżynier chemik zaczął pracę na wykończalni jako mistrz, ale od początku pomiatał nim kierownik działu. Stary to był fachowiec ten kierownik, ale bez wykształcenia, może więc odezwała się w nim zawiść? Bo to różnie bywa: gdy młody inżynier przyjdzie do fabryki, zawsze znajdzie się sporo ludzi, którzy sądzą, że ten młody człowiek tylko czeka, aby zająć ich miejsce. To pomiatanie i szykanowanie młodego chemika trwało pięć lat, gdy więc nadarzyła się wreszcie okazja, przeniósł się do innej fabryki. Teraz słyszę, fabryka, w której go tak szykanowano, przeżywa ciężkie chwile na wykończalni. Młody inżynier z pewnością by jej pomógł w kłopotach. Teraz by go ozłocili, ale przecież już nie wróci. Myśli pan, że to konflikt starzy-młodzi? Nie, teraz mamy już tylko konflikty wiedzy z jej brakiem...

Dyrektor jednego ze zjednoczeń wszystkie sukcesy jakie zjednoczenie osiągnęło, zawdzięcza młodym inżynierom — entuzjastom włókiennictwa.

— W ciągu pięciu lat dzięki racjonalizacji, nowej technice, usprawnieniom wprowadzonym przez naszych inżynierów udało się uzyskać 350 mln dodatkowej akumulacji.

I skreślił taką charakterystykę typów inżynierskich:

— Niektórzy młodzi inżynierowie dobrze myślą i chcą, ale psychicznie nie są przygotowani do pracy w zespołach, nic nie wiedzą o współżyciu, o zasadach kierowania ludźmi. Czy pan wie, że na 10 młodych inżynierów, według moich doświadczeń, na kierownicze stanowiska nadaje się tylko 4? Dalszych 4 lgnie do spokojnej pracy, w której nie trzeba się wysilać ani wykazać inicjatywy, gdzie się czeka tylko na instrukcję. A 2 z tej dziesiątki to ludzie, którzy w produkcji, w fabryce marnują się. Ci chcą mieć święty spokój, męczy ich wir, wszystkie bitwy staczane o plan i wydajność — tym najbardziej odpowiadałaby praca naukowa, badawcza, ale nie na froncie, którym jest fabryka.

Mówiono mi o pewnym dyrektorze, który otoczył się samymi młodymi magistrami-inżynierami, ale wszystko w fabryce „gra", tarć ani zawiści żadnych nie ma, choć dyrektor nie ma studiów technicznych za sobą. Więc chyba charakter. Ale przecież w małych ośrodkach zdarza się jeszcze, że dyrektor poczuje się zagrożony przez młodego włókiennika, że świadomie chce go zniechęcić do pracy, świadomie pomija i przemilcza jego zasługi dla fabryki, tak jakby obawiał się, że uznając wartość młodego inżyniera, sam traci na swym znaczeniu i autorytecie.

Jeśli więc na inżyniera-włókiennika „patrzy Europa", zapytajmy go samego, jak się czuje w tym przemyśle, który daje mu chleb (nierzadko Wartburga czy Syrenę) i czego mu brak do szczęścia?

Rozmawiałem z dość dużą grupą inżynierów. Żaden z nich nie mówił, że za długo czekał na mieszkanie, że zarabia za mało (choć usłyszałem na przykład, że pewien majster w fabryce zarabia więcej od swego brata — dyrektora zjednoczenia), że nie może dogadać się z ludźmi, wśród których pracuje. Wszyscy natomiast zgadzali się co do jednego: inżynierom w fabryce trzeba dać więcej możliwości do przejawiania własnej inicjatywy, wolności od roboty papierkowej, ograniczenia zebraniomanii, ukrócenia, zbędnej sprawozdawczości.

I poparli to faktami: tylko 20 proc. czasu ma inżynier na myślenie, bo 80 proc. zabiera mu pisanie planów, ich poprawianie („inżynierze, na wczoraj, dobrze"?) oraz sprawozdawczość. Np. o stanie zadrzewienia w fabryce (w tej sprawie — ile jest buków, ile dębów, a ile klonów i to w jakim wieku każdy gatunek osobno — napływają do fabryki nawet noty dalekopisowe), o stanie trzody chlewnej w majątku fabrycznym...

Te sprawozdania piszą inżynierowie co miesiąc, bo raz na rok byłoby za mało. I jak tu pomieścić w jednej inżynierskiej głowie drzewa z poliestrami, poliakrylonitrylem i octanem, jak pogodzić świnie z laminatem czy włóknami?

Ich MAŁŻEŃSTWA

Tadeusz WIĄCEK

Przyjeżdżają do naszego miasta z różnych stron kraju. Częstokroć nie ukończywszy jeszcze osiemnastu lat, wydostają się spod kurateli rodziców i dotychczasowych opiekunów. Zaczynają studiować. Mieszkają w Domach Akademickich, gdzie poznają nowe koleżanki i nowych kolegów. Z czasem stopa koleżeńska przeradza się w sympatię, i w taki oto sposób powstają studenckie „pary". Spotykają się w świetlicach, klubach przy Domach Akademickich, w stołówce, korzystają z dni odwiedzin w akademiku. Wreszcie część z nich decyduje się na tak poważny krok w życiu, jakim jest małżeństwo. Dziwne są te studenckie małżeństwa. Jedne mogą sobie pozwolić na wynajęcie pokoju sublokatorskiego (o własnym mieszkaniu nie ma mowy), inne w dalszym ciągu mieszkają w akademikach. Ci ostatni, w dalszym ciągu spotykają się w stołówce, klubie itp. Ich tryb życia nie ulega zasadniczej zmianie. Rośnie natomiast ilość zwykłych, codziennych kłopotów. Najwięcej na ten temat powiedzą oczywiście sami studenci.

TEODOZJA S. — STUDENTKA PIĄTEGO ROKU PRAWA:

— Mój mąż studiuje ekonomię, którą również kończy w tym roku. Jesteśmy przeszło rok po ślubie. Poznaliśmy się w Łodzi. Andrzej mieszkał w Domu Akademickim mieszczącym się na przeciwko naszego. Obecnie ja nadal mieszkam w II DA, mąż również w akademiku. O własnym pokoju w Domu Akademickim nie możemy nawet marzyć. Takich pomieszczeń dla małżeństw studenckich po prostu nie ma. Zresztą przemęczyliśmy rok, to wytrzymamy jeszcze te pół roku. W czerwcu kończymy studia i czeka nas wtedy bardzo poważny problem. Otóż ja będę musiała podjąć pracę w Radzie Narodowej w Kutnie, skąd pobieram stypendium fundowane. Mąż natomiast będzie pracował w innej miejscowości, skąd również otrzymuje zakładowe stypendium. Czeka nas więc kilka lat rozłąki, gdyż nie mamy możliwości spłacenia choćby jednego z tych stypendiów. Nadzieje na ewentualną zamianę, są również bardzo nikłe. Teraz przynajmniej możemy widywać się codziennie. Niestety nie w każdy dzień wolno mi zaprosić swego męża do siebie (chociażby na kolację). Koleżanki z pokoju często wyrażają zgodę, ale sprzeciwia się portier i nic na to nie można poradzić. Pozostają więc dni odwiedzin, których mamy dwa w tygodniu. Myślę, że ten słuszny w innych wypadkach purytanizm portierów, nie powinien obejmować małżeństw. Jeśli chodzi o sprawy finansowe, to jakoś sobie radzimy. Oczywiście podstawą są dla nas stypendia. Staramy się także otrzymać w każdym semestrze tzw. zasiłek losowy. Tymczasem w podaniu o taki zasiłek trzeba podawać wysokość zarobków rodziców. Myślę, że nie jest to słuszne. Przecież z dniem ślubu utworzyliśmy osobną rodzinę, której rodzice nie są zobowiązani pomagać pieniężnie. Sądzę, że małżeństwa studenckie powinny razem z sierotami mieć pierwszeństwo w przyznawaniu tych zasiłków. Jeśli chodzi o naukę, to małżeństwo wpłynęło na mnie raczej mobilizująco. Wydaje mi się, że każdy student wstępujący w związek małżeński stawia sobie za cel, jak najszybsze ukończenie studiów. Naturalnie z dyplomem. Stabilizacja psychiczna wpływa również dodatnio na postępy w studiach. Sytuacja wyglądałaby jeszcze lepiej, gdybym mieszkała razem z mężem, tak jak mieszkały tutaj przed rokiem małżeństwa cudzoziemskie. Naprawdę szkoda, że nie można wygospodarować pomieszczeń w akademiku dla małżeństw studenckich. Po „odpracowaniu" stypendium fundowanego w Kutnie, chciałabym rozpocząć pracę w sądownictwie, ale nie wiem czy mi się to uda. Powiększenie naszej rodziny odkładamy na bardzo daleki plan. W ciągu najbliższych lat nie będziemy mogli sobie na to pozwolić. Mimo tak wielu piętrzących się przed nami trudności, nigdy nie żałowałam swojego kroku.

ALE SZTUKA!

Rys. Janusz Wiktorowski

BARBARA P. — STUDENTKA CZWARTEGO ROKU FILOLOGII ANGIELSKIEJ:

— Sytuacja moja jest trochę niety powa. W Łodzi jestem zaledwie od października ubiegłego roku. Otrzymałam tutaj stypendium i mieszkanie w akademiku. Mój mąż jest studentem psychologii w Lublinie. Już w niedługim czasie stanę przed bardzo poważnymi problemami. Otóż za dwa miesiące spodziewam się rozwiązania. Nie chcę jednak przerywać studiów. Dziecko będzie razem ze mną w akademiku. Koleżanki z pokoju, obiecały mi pomoc. Na razie jestem jak najlepszej myśli, ale zdaję sobie sprawę jak trudno będzie mi zaliczyć ten rok. Mąż będzie mi mógł pomagać tylko finansowo. Musi on pozostać w Lublinie, gdyż w Łodzi nie ma wydziału psychologii. Z zazdrością myślę o takim Olsztynie, gdzie Wyższa Szkoła Rolnicza wybudowała specjalny akademik dla małżeństw studenckich. Przy tym akademiku jest nawet żłobek. Niestety, łódzkie uczelnie nie wykazują w tej sprawie żadnej inicjatywy. Ze słyszenia wiem również, że w Szczecinie małżeństwa studenckie otrzymują oddzielne pokoje w akademikach. Wracając do problemów finansowych — rodzice trochę nam pomagają, a do tej pory nie słyszałam jeszcze o zasiłkach losowych. Będę musiała z nich korzystać. Natomiast z nauką nie mam dotąd żadnych kłopotów. Małżeństwo i szybko zbliżające się powiększenie rodziny, jeszcze bardziej zdopingowało mnie do systematycznej pracy naukowej. W tej chwili będę się starała o jak najszybsze ukończenie studiów. Nie mam zamiaru rezygnować na półtora roku przed końcem. Po studiach chciałabym pracować w szkole, w jakimś niedużym, ładnym miasteczku. Nie będę już chyba dłużej kontynuować kariery naukowej.

JANIKA G. — STUDENTKA TRZECIEGO ROKU MATEMATYKI:

— Mój mąż studiuje również matematykę, jest na czwartym roku. Ślub wzięliśmy blisko dwa lata temu. W ubiegłym roku mieszkaliśmy w pokoju sublokatorskim w mieście. Jednakże w tym roku akademickim nie przyznano nam stypendium, wychodząc z założenia, że jeśli możemy sobie pozwolić na mieszkanie, to znaczy, że pomoc finansowa ze strony uczelni jest nam niepotrzebna. Dlatego zmuszeni byliśmy zrezygnować ze wspólnego mieszkania i powrócić do swoich akademików. Teraz mamy stypendia, ale mieszkamy oddzielnie. Nie wydaje mi się, żeby władze uczelniane cokolwiek na tym skorzystały. Teraz i tak wypłacają nam stypendium, a w dodatku zajmujemy miejsca w akademikach. Staraliśmy się o uzyskanie osobnego pokoju w domu akademickim, ale powiedziano nam, że zarządzenie ministra wyklucza taką możliwość. Nie bardzo w to wierzę, a podobno w III DA są wolne pokoje. Spróbowaliśmy interweniować u rektora, ale sekretarka również „postraszyła" nas zarządzeniem i daliśmy spokój. Po swoich doświadczeniach mogę stwierdzić, że opieka uczelni nad małżeństwami studenckimi nie jest najlepsza. Oto jeszcze jeden przykład. Otrzymałam stypendium stołówkowe, ale nie na wszystkie posiłki, a tylko na obiady. W związku z tym śniadania i kolacje robię sobie sama, co pochłania i dużo czasu i pieniędzy, a stypendium miesięczne wynosi 500 zł. Muszę przyznać, że do nauki też się zniechęciłam. Gdy mieszkaliśmy razem, wspólnie przygotowywaliśmy się do egzaminów. Teraz jest to bardzo trudne. W tej sesji jestem gorzej przygotowana, niż w roku ubiegłym. Psychicznie też nie mogę czuć się najlepiej, na co ma wpływ ciągła rozłąka z mężem. Te spotkania w stołówce, świetlicy akademickiej czy na uczelni, nie mogą wystarczyć. Dużo dałabym za to, żeby studia mieć już za sobą co nie znaczy, że chcę je przerwać. Po studiach chciałabym pracować w jakimś zakładzie pracy, ale prawdopodobnie trafię do szkoły. Powiększenie rodziny planujemy dopiero w rok po ukończeniu studiów. Mimo tych kłopotów, jestem za małżeństwami studenckimi. Mają one na pewno wiele stron dodatnich. Ciekawe zdanie na ten temat powiedział kiedyś nieznajomy starszy pan w pociągu — „Małżeństwo studenckie nie jest małżeństwem sensu stricto. To niejako zawieszenie współżycia małżeńskiego na okres studiów". Chyba miał rację.

Z tych kilku wypowiedzi nie można wyprowadzić zbyt daleko idących wniosków. Niemniej można się pokusić o pewne uogólnienia. Najważniejszą sprawą wydaje się być zbyt mała opieka ze strony władz uczelni nad małżeństwami studenckimi. Ograniczenie opieki tylko do przyznania stypendium (i to nie zawsze) i mieszkania w akademiku, chyba nie jest wystarczające. Jednym z podstawowych kłopotów małżeństw studenckich są kłopoty mieszkaniowe (któż ich nie ma?). Czy władze uczelniane naszego miasta nie mogą tu w niczym pomóc? Uniwersytet Łódzki boryka się z trudnościami w II Domu Akademickim, gdzie panuje przepełnienie. Nie rozwiązało sytuacji odejście cudzoziemców. Dlatego planuje się przejęcie IV DA przy ul. Lumumby od Politechniki, która z kolei wybuduje akademik za pieniądze Uniwersytetu przy Al. Politechniki. Dopiero wtedy będzie można rozpatrzyć sprawę tzw. pokojów małżeńskich. Natomiast żadna z łódzkich uczelni nie może sobie pozwolić na wybudowanie osobnego akademika dla małżeństw studenckich. Jedyne wyjście, to porozumienie wszystkich łódzkich uczelni i wybudowanie wspólnymi siłami akademika dla małżeństw studenckich. Dużą rolę w zdopingowaniu władz uczelni do takiego porozumienia, powinny odegrać organizacje młodzieżowe. Taka inicjatywa pomogłaby rozwiązać jeden z najpoważniejszych problemów, z jakimi borykają się małżeństwa studenckie. Z innymi kłopotami muszą radzić sobie sami.

SĘDZIA, REGUŁY, INTERPRETACJA

Powiadają nam: „Sędzia ma rację". Albo „Sędzia widział lepiej", albo „Sędzia był bliżej". I kłamią. Jakże często kłamią. Nie, nie chodzi tu o fałsz. Zwykły, powszedni fałsz. Tu idzie o fałsz świadomy. Bo oni sami nie wierzą w to, co mówią. Nie wierzą w sędziego, który za każdym razem był bliżej. I za każdym razem widział lepiej. Który miał rację. Zawsze miał rację. Ale oddajmy im sprawiedliwość. Nie chcą nawet, chyba nie chcą, byśmy wzięli ich słowa za dobrą monetę. Wystarczy im jeśli będziemy to udawać. Doprawdy, wystarczy szczypta hipokryzji. Bo zasada „sędzia ma zawsze rację" jest w gruncie rzeczy ukrytą regułą. To ona każe nam postępować tak, jak byśmy zaufali nieomylności sędziowskich decyzji. Nie chce niczego więcej. Wiara? Tu nikt nie wymaga wiary. Sędziowie się mylą. Wiemy o tym. Mylą? Szereg decyzji zahacza o to co jest poza prawdą i fałszem, poza pomyłką i racją, poza trafnością i błędem. Sport jest grą. Gra ma swoje reguły. Reguły wyznaczają cel gry. Wyznaczają również sposoby dochodzenia do celu. A w każdym razie delimitują to, co poza owymi sposobami się znajduje — czy raczej starają się delimitować. I nakładają sankcje, sankcje karne na zachowanie niedozwolone, kolidujące z regułami.

Realizacja gry wymaga kontroli. Nie sposób zaufać grającym, choćby się nawet zakładało ich dobrą wolę. Dobrej woli bowiem nie należy nadużywać. Ostrożnie z dobrą wolą. Dobra wola wystawiona na zbyt wiele prób, pozbywa się dobroci. I jest już wolą ani dobrą ani złą. Ot, taką sobie, czasem wciąż jeszcze świeci niewinnością, a czasem już poddaje się deprawacji.

A więc kontrola. Kontrola i ten, który ją sprawuje... Ten, który będzie nadzorował zachowanie grających i który będzie je badał ze względu na zgodność z regułami. I będzie wymierzał kary. Dyktował rzut wolny. Dawał napomnienie. Wykluczał z lodowiska. Sędzia jest kontrolerem. Bywa nie tylko kontrolerem. Istnieją przecież dziedziny sportu, w których odgrywa on znacznie ważniejszą i znacznie bardziej eksponowaną rolę. Tam jego decyzja rozstrzyga o zwycięstwie. To on ocenia walkę bokserską, która nie skończyła się przed czasem. I jazdę figurową na lodzie. I elegancię narciarskiego skoku. Oczywiście, jest skrępowany przepisami. Przepisy ustalają zasady punktacji. Stają się taryfikatorem zachowań. Zachowań przynależnych do gry.

Pominńmy jednak sędziego, który nie jest już tylko kontrolerem. Tak, wówczas łatwiej byłoby nam mówić o werdyktach nie opartych o prawdę i fałsz. Dyktowanych jak gdyby osobistymi upodobaniami, które rządzą raz węższą, a raz szerszą strefą (to już zależy od rodzaju gry) niezdeterminowaną przez reguły, bo reguły w takim przypadku nie wyznaczają wszystkiego. Ale pójdźmy na ustępstwo. Pominńmy tę sprawę. Czyż wtedy będzie tu miejsce na decyzje podejmowane poza trafnością i błędem?

Sędzia kontroler wydaje swe orzeczenia na podstawie sytuacji. Musi ją widzieć. Widzieć wszystko. I, oczywiście, widzi jedno, a nie dostrzega drugiego. Nie dzieje się to za sprawą indywidualnych sympatii. Jawnych, ukrytych czy zgoła nieuświadamianych sobie. A raczej nie dzieje się tak zawsze. Tak dziać się nie musi. Sytuacja zmienia się zbyt szybko, zbyt raptownie. Często jest nie do uchwycenia. Sędzia ma najlepsze chęci. Ale zdarzenia — te, które rozgrywają się na boisku umykają jego oczom. Przeciekają przez palce. Chce je zatrzymać. I nie potrafi. Wydaje orzeczenia. I są to orzeczenia błędne. Właśnie — błędne. Bo wówczas mówimy o trafności i o pomyłce. Ale dalej...

Podstawą orzeczeń jest nie tylko sytuacja. Stanowią ją również reguły. Interpretacja reguł. To prawda, ustalając je dbamy o to — nieraz nie zdając sobie z tego sprawy — by nie miały zbyt wielu wykładni. Ale zazwyczaj posiadają one ich więcej aniżeli tylko jedną. Zazwyczaj możemy je parafrazować w ten lub w inny sposób. Kluczową rolę odgrywa tu nieostrość terminologiczna. Nieostrość, na którą jesteśmy skazani. Której niepodobna uniknąć. Zaczyna się ona bowiem od terminów wyuczonych za pomocą definicji ostenzywnych. Za pomocą wskazywania. Są to terminy podstawowe dla każdego języka, który chce mówić o empirii. O doświadczeniu. One to zarażają nieostrością terminy inne.

Na boisku zdarzają się sytuacje, o których niepodobna orzec czy są już przekroczeniem przepisu czy jeszcze nim nie są. Wówczas wszystko zależy od interpretacji. Interpretacji reguł gry. Niektóre z nich odrzucimy. Powiemy, że są „naciągnięte". Ale bywają i inne. Sprzeczne ze sobą, a zarazem stawiające nas w kłopotliwym położeniu. Nie wiemy, która z nich jest „słuszna". Która „lepiej" przystaje do reguły. Nie wiemy. Bo tu nie można mówić o słuszności i „przystawaniu". Tu kończy się prawda i fałsz, trafność i pomyłka.

PS. W poprzednim felietonie zapowiedziałem, że jeśli nie się nie zmieni, Sonny Liston będzie walczył z Cassiusem Clay 17 lutego w Las Vegas. Zmieniło się. Zmienił się czas i miejsce. Walka rozegra się w osiem dni później. I nie w Las Vegas a w Miami Beach na Florydzie.

Chciałbym zarazem skorzystać z okazji, by odpowiedzieć na list pana Wiesława P. z ulicy Mickiewicza.

Drogi Panie. Czy można potępić Stefanię Biegun naszą znakomitą, acz nieco nerwową narciarkę? To raczej celnicy konfiskując przeszmuglowane przez nią rzeczy okazali się ludźmi bez serca. Nie wzięli pod uwagę ofiarności i samozaparcia Stefanii Biegun, która — jak donosi nasza prasa — nie zrażona dotychczasowymi niepowodzeniami po raz wtóry jęła się przewozu przedmiotów nabytych za granicą, a nie ocłonych. Nie wzięli również pod uwagę i tego, że zawodniczce dotkniętej olimpijskimi niepowodzeniami, a nerwowej — powtarzam raz jeszcze: nerwowej — może i należy się jakaś rekompensata.

Punch

JOHANNA MOOSDORF

KRĘGI NA WODZIE

dalszy ciąg ze str. 1

by wystąpiła przeciwko mnie, ona, która wtedy była już tylko własnym cieniem, chuda jak panna Steinbach, jakkolwiek nie ze starości; były w niej inne możliwości zejścia na psy, możliwości które tkwiły w niej jak ukryte ropne ogniska, bo wszelka wina mści się na tej ziemi, myślał patrząc tępo przed siebie; czy rzeczywiście? Wszelka wina? Stubbacher nazywał się ten młody lekarz, z którym go zdradziła, Reinhold Stubbacher, ładny, zdolny chłopak, ale i jego wina się zemściła, nie oszukuje się bezkarnie Aleksandra Brockendorfa, nie obraża się swoich przełożonych, nie odrzuca się świetnej kariery, bo ma się muchy w nosie — i nie zagraża się takiemu Stefanowi Jensenowi po trzynastu latach milczenia i zapomnienia, myślał z pasją; po latach powodzenia, po latach, w których dowiódł, że także po katastrofie roku 1945, bez szemrania i bez buntu pełnił swój obowiązek wobec narodu, wierny aż do śmierci, wszak bez wahania oddał swą kierującą rękę, swoją energię, siłę woli i przedsiębiorczość sprawie odbudowy. Czy to nie ma znaczenia? Czy to możliwe, żeby zjawienie się jednej Dorotei Laurens mogło wszystko przekreślić? Przestań wreszcie uważać to, że ona żyje, za rzecz niepojętą i szaloną, nastaw się na to, uzbrój się. Wciąż jeszcze drżał na widok każdej szczupłej blondynki, idącej w jego stronę. Nie zna mojego nazwiska. Ale twarz na pewno pamięta, twarzy z całą pewnością nie zapomniała i choć twarz się chyba zmieniła, ona pozna ją od razu. Może widziała mnie gdzieś przypadkiem. Może zaczęła histerycznie krzyczeć, lub dostała ataku sercowego, albo straciła mowę ze strachu. W jaki sposób wpadła na ślad Leny, nigdy nie była zręczna, nie była chytra. Nie do pomyślenia, żeby Lena spiknęła się z tą półidiotką i histeryczką, z tą lunatyczną kretynką. Ale Lena zadawała się też z panną Steinbach, a od Dorotei, od tej bladej obłudnicy, która w przystępie wariacji nie umie odróżnić prawdy od kłamstwa, mogła usłyszeć rzeczy, rzeczy, które....

Znowu poczuł swą bezsilność. Przeklinał swoją głupotę. Nie powinienem był wysłać Leny. Powinien był ją zatrzymać i kazać obserwować, tylko to byłoby słuszne. Postarzałem się. Tracę siły. Robię wszystko źle. Nie jestem już człowiekiem o żelaznych nerwach, którym byłem. Moja sytuacja była wtedy groźniejsza niż dzisiaj, ale nie myślałem o ucieczce, ani przez chwilę nie myślałem o ucieczce. Ucieczka? Powiedziałem: ucieczka?

Koniak miał smak wody, papieros — słomy. Dlaczego do stu diabłów gryzę się, dlaczego nie śpię? Nic, absolutnie nic nie może mi się stać. Kurtz wszystko przygotował. O ucieczce nie ma w ogóle mowy. Nie będę uciekał, wycofam się, zmienię zawód, i nie poniosę nawet strat. Wszystko będzie załatwione, bez pośpiechu, bez trwogi. Po cóż więc tracić nerwy? Martin załamał się nerwowo. Ewa załamała się nerwowo. Nie chcę twierdzić, jakobym był zimny, ale nerwów nie straciłem, i gdyby Ewa nie zawiodła... to chłopak był temu winien. Robert, który był, co prawda, małym dzieckiem. Lecz od tego czasu Stefan Jensen z niechęcią patrzył na swego syna.

To się do dziś nie zmieniło. Chciał mieć innego syna, syna od Leny, pomyślał i roześmiał się z goryczą. Syna od Leny, która może w tej chwili, gdy on za nią tęskni, tam, na Sycylii z jakimś czarnookim, smagłoskórym makaroniarzem — nie. Dokąd ja się zapędzam. Ona jest niemiecką kobietą, moją żoną, wciąż jeszcze moją. Czy znasz niejakiego Aleksandra Brockendorfa, Stefanie?

Ale to brzmiało niewinnie, myślał, nie ironicznie, nie szyderczo, dopiero gdy zacząłem ją zaklinać, by nigdy więcej nie wymieniła tego nazwiska, zaczęła szydzić. — Może zainteresuje cię to, że Dorotea jeszcze żyje... To było szyderstwo. Tu nie ma już wątpliwości. Przejrzałam cię na wskroś, razem z twoimi wielkimi ideami, głębokimi uczuciami i nastrojami. Nie bądź taki prowincjonalny, taki niemiecki, powiedziała, zatrzasnęła mu przed nosem fortepian, puściła swoje jazzowe płyty i tańczyła te murzyńskie tańce, ale wtedy go jeszcze nie przejrzała, więc co by powiedziała teraz, teraz, co ona by powiedziała. Powiedziałaby może: obłudnik. To dr Rapitz powiedział, że jesteśmy obłudnicy, a Stefan Jensen gardził także drem Rapitzem, gardzę nimi wszystkimi, myślał, wszystkimi.

Świt zajrzał przez firanki. Gorzki smak choroby i śmierci, który dręczył go od chwili, gdy Lena powiedziała, czy znasz niejakiego Aleksandra Brockendorfa, nie ustępował z jego ust. Smak śmierci, pomyślał. Śmierć. Gnieździ się w moich trzewiach, czai się w mojej piersi. Nikogo tu nie zna, nikogo, nie ma Leny, nie ma Ewy. Ewa. Byłem bardzo szczęśliwy z Ewą. Bardzo szczęśliwy, a ona musiała umrzeć, dlaczego musiała umrzeć, kochała życie, kochała miłość. Była ożywczym źródłem po męce jego pierwszego małżeństwa. Prawdziwa kobieta, w całej pełni kobieta, nie obchodziły jej sprawy, których nie rozumiała, nie troszczyła się o moją pracę, o zbawienie mojej duszy, o prawo czy bezprawie, o zło czy dobro, nie sprzeczała się ze mną, myślał wzruszony, uznawała mnie i podziwiała bez zastrzeżeń i ograniczeń, podziwiała mnie, uwielbiała mnie, mnie, swego Boga i pana i była dumna z szacunku, który otaczał ją jako moją żonę.

Umarła bez cierpień. To wina Roberta. Gdyby nie płakał bezustannie i nie kwilił, przyjechalibyśmy do Lipska, przed wkroczeniem Amerykanów, wszyscy troje. Ewa też.

Z najwyższą ostrożnością Jensen prowadził wóz ciemnymi drogami daleko od autostrad i szlaków komunikacyjnych. Kwilenie dziecka, które miało ropne migdałki, rozdzierało mu nerwy, szarpało je na strzępy, a Ewa nie umiała dziecka uspokoić, więc skrzyczał ją. Czy zbyt wiele się żąda od matki, gdy każe się jej uciszyć dziecko, Krzyknął. Śmiertelny taniec Niemców już się rozpoczął. Zemsta będzie straszliwa. Wrócą Żydzi i zmasakrują niemieckie kobiety i dzieci. Rosjanie działają już w tym kierunku, wykańczają nazistów. Bachor będzie miał jeszcze dość powodów do wycia i kłapania zębami. Zatkaj mu gębę! — ryczał Stefan i czekał na jej odpowiedź, lecz jej nie usłyszał. Tylko Robert skomlił za jego plecami, a ona nie pocieszała go, nie przemawiała do niego, nie kołysała go do snu. Zrobiła coś innego, ale on o tym nie wiedział. W zaciekłym milczeniu jechał przez wiosenną noc. Niebo mieniło się odblaskiem płonących miejscowości. Eskadry bombowców przelatywały nad chmurami. Usłyszał głosy i kroki, zatrzymał wóz i wysiadł. Zawołał do Ewy, żeby przynajmniej na pięć minut uciszyła dziecko, lecz Ewa nie odpowiedziała, a chłopiec nie przestał wyć. Obraziła się, pomyślał Jensen, tego mi jeszcze brakowało. Nie poruszyła się, a on przekradł się do lasu, skąd dochodziły głosy i natrafił na grupkę młodzieży hitlerowskiej. Porozmawiał z przywódcą grupy, wylegitymował się, powiedział, że jest wydelegowany do Lipska i usłyszał, że czekają na wroga z granatami ręcznymi i pięściami pancernymi. Chłopcy salutowali sprężyście. Dzielni chłopcy. Straceni, niestety, ale wierni do śmierci. Wierność ważniejsza niż życie, jesteśmy narodem bohaterów, bohaterowie nie poddają się, kapitulacja jest synonimem tchórzostwa. Rzucił przelotne spojrzenie na Ewę i dziecko, które trzymało w ręku wiatrak, groteskowy obraz. Ewa spała. Pojechał dalej, lecz nagle jej sen bez oddechu wydał mu się dziwny, więc powtórnie zatrzymał wóz i — zobaczył. Fiolka z tabletkami, które dał jej na wszelki wypadek, leżała na jej kolanach. Była pusta. Żaden Rosjanin już Ewy nie zgwałci i nie obchodzi już jej, że dziecko płacze, bo boli je gardło i że jej mąż ma w kieszeni fałszywe papiery, które uchronią go od haniebnego końca. Ale on patrzył na nią osłupiały i nie bronił się już przed rozpaczą.

Człowiek musi wierzyć i musi być pewny swego powołania, myślał, i znowu poczuł, że łzy nabiegają mu do oczu. Ewa umarła, a Dorotea żyje, co za niesprawiedliwość, jaki niedorzeczny triumf przypadku.

Widział twarz Dorotei, widział przerażenie w jej oczach. Roześmiał się z odrazą. Znowu napił się koniaku z butelki stojącej na nocnym stoliku przy łóżku. Piekła go krtań, drżały powieki. Zdusił papierosa i rzucił się na łóżko. Dziwnie pomyśleć, że Niemcy wciąż jeszcze istnieją, jakkolwiek w postaci kadłuba, kaleka wojenny, ale kaleka bardzo żywotny, tłusty i poważany i narody słuchają głosu Niemiec, nie głosu Dorotei, nie twojego babskiego lamentu, nikczemnego lamentu zdrajczyni własnej ojczyzny; to potężny, męski głos Niemiec odzywa się wyraźnie w chórze narodów, a gdy zajdzie potrzeba, odezwie się szczękiem broni. Jakież więc to ma znaczenie, że ty żyjesz, i oddychasz i śnisz i knujesz zemstę. Że Stefan Jensen, którego nazwiska nigdy nie słyszałaś, o trzeciej nad ranem chleje koniak z butelki, ten sam Stefan Jensen, który jeszcze cztery tygodnie temu był człowiekiem kulturalnym, umiarkowanym pod względem alkoholu, człowiekiem, którego tylko szlifowany kielich mógł zadowolić, człowiekiem o głębokiej naturze, przykładającym wagę do czystości uczuć, podobnie jak komendant: on również był zwolennikiem pięknych uczuć, jakkolwiek niełatwo znajdował dla nich wyraz, tak, był zdolny do czystych uczuć i głębokich myśli, nie był tym sadystą, tym złośliwym brutalem i masowym mordercą, jak go później nazwano, nie, był człowiekiem o uczciwych dążeniach, był idealistą, choć może po filistersku ograniczonym, kochał zwierzęta, dzieci i młode dziewczyny i niechętnie uczestniczył w egzekucjach, jakie zarządzał. Wzruszał go też widok skazańców, idących pod kwitnącymi drzewami do komór gazowych. Lubił mówić o stawaniu się i przemijaniu, o bliskości śmierci wśród życia. Stefan Jensen miał wrażenie, że znowu słyszy jego śmiech, ten trochę zażenowany, wymuszony śmiech, którym zdawał się przepraszać za to, że on, komendant, w tych poważnych czasach jeszcze się w ogóle śmieje. Tylko przy odświętnych okazjach, kiedy chlało się, grało i rżnęło, hamulce się rozluźniały... Groza mnie ogarnia na jego widok, powiedziała Dorotea i otrząsnęła się, jak gdyby ten głupi chłop, który zawsze się bał, że może nie wykonał jakiegoś rozkazu do ostatniej kropki nad i, był jakimś potworem.

Ile tysięcy razy umierał w mękach ten tchórzliwy zając, zanim nadeszła prawdziwa śmierć. Czy ja śpię? Czuwam? Nie, nie, mnie nie, mnie nie możecie powiesić. Nie chcę. Nie chcę, ja chcę żyć. To nie dzieje się tak prędko, jak czasem mówią. W jednej sekundzie człowiek też może przecierpieć potworne męki. Czy nie wiesz, jak nieskończenie długą może być sekunda? A to trwa więcej sekund, znacznie więcej, osiem, dziesięć, może dwadzieścia. Ja nie chcę umrzeć.

Zerwał się z krzykiem. Zmora, koszmarny sen, pomyślał, i gapił się w mrok. Nigdy czegoś podobnego nie przeżyłem. Muszę się dowiedzieć, jak to się dzieje. Nie spałem. Może nie zamknąłem nawet oczu. Myślałem zupełnie logicznie, a jednak nie mogłem otworzyć ust, ani się poruszyć.

Wypił butelkę do dna. Tak musi się czuć człowiek żywcem pogrzebany. Podobno to się zdarzało. Ale grudki ziemi nie bębniły o trumnę, nie było trumien, nie było też księdza, mruczącego modlitwy. Boże bądź miłościw jego duszy. Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz, to byli martwi, wśród których pogrzebano biedaka, którego wystrzał w kark nie załatwił. Piekło. Nie to, którym się straszy dzieci. Prawdziwe, rzeczywiste piekło, zgotowane przez ludzi dla ludzi, ten człowiek czuł już robaki w oczach i uszach, robaki, których jeszcze nie było i czuł jak jego mięso gnije i odpada od kości. Szaleństwo. Jestem szalony, myślał Stefan Jensen. U nas to się nie zdarzało. Wszyscy, którzy szli do dołu z wapnem byli martwi. Leżę tutaj i majaczę jak Dorotea, nigdy bym nie uwierzył, że majaki mogą być tak dręczące, kto ją słyszał, śmiał się, trząsł się od śmiechu. Niech pani skończy z tym bredzeniem, pani Brockendorf. Jej szczęście, że była panią Brockendorf. To alkohol przyprawia mnie o szaleństwo, jutro koniec z tym, nie chcę zniszczyć sobie do reszty nerwów. To nie tylko alkohol. To wina tego draba. Staje raptem w drzwiach i stoi, podczas gdy ten idiota Beckermann podchodzi do mnie rozpromieniony: „Przyprowadziliśmy takiego a takiego" oznajmia i dalej ani rusz, choć ja nie od razu ryknąłem na niego. Wściekłość, szewska pasja, jaka mnie ogarnęła, pozbawiła mnie zrazu mowy, musiałem wyglądać niesamowicie, bo także Beckermann zaniemówił, a ten drab przy drzwiach podniósł ręce, ramiona i brwi, otworzył szeroko oczy i usta, ale opuścił z powrotem ręce, znowu zamknął gębę, a ja w tym moim panicznym nastroju myślałem tylko jedno: on mnie poznał. Stał i czekał, podczas gdy ja zastanawiałem się gorączkowo, kiedy to mogło być. Byli podobni do siebie jak Chińczycy, przynajmniej wtedy, wtedy byli do siebie podobni. Cóż były warte wszystkie środki ostrożności, skoro ten idiota Beckermann je lekceważył? Musiałem go potężnie zbeształ, myślał Jensen i widział siebie, jak czerwony ze złości stał za swym pompatycznym biurkiem. Za drzwi! Nie wchodzi pan dla nas w rachubę!

To był błąd! Beckermann pokazał mi list, w którym ten człowiek zapowiedział swą wizytę. Oddałem list sekretarce. Pani napisze, że jesteśmy do dyspozycji. Napisała. — Pan powinien go przeprosić — powiedział Beckermann z nieszczęśliwą miną. — Obraził pan człowieka bez najmniejszego powodu. — Ja? Przeprosić? Jego? Nigdy w życiu.

Zdawało mu się, że znowu widzi go przed sobą i pomyślał: to on, Żyd wieczny tułacz, po tysiąckroć mordowany i po tysiąckroć zmartwychwstały, twardy, niezniszczalny, bezwstydny. Ale ten nie był dawnym więźniem, który mógłby go zdemaskować. Gdybym się był zawczasu dowiedział, że Dorotea żyje, pomyślał nagle jasno, bez mgiełki, jak gdyby w jednej sekundzie wytrzeźwiał, gdybym się był dowiedział, że ona żyje, zanim nabiła Lenie uszy swym lamentem, byłbym ją zabił, byłbym ją zdeptał. Zapatrzył się na swe ręce. Pan życia i śmierci. Władza. Krótkie, twarde, mocne, wspaniałe słowo. Władza, którą się rozkoszowałem. Władza, która mnie upajała, jeszcze raz, jeszcze jeden jedyny raz być panem życia i śmierci skomlących tchórzów. Nie potrzebowałbym nawet trudzić rąk. Strach także może zabić, strach i poczucie winy. Gdybym zjawił się nagle przed nią, Dorotea, i spojrzał na nią moimi oczyma, które ją przerażały, gdy pozostawały zimne, gdy inni odwracali się z dreszczem grozy. Ośmieliła się zdradzić Aleksandra Brockendorfa. Oszukała go dla szmatławego zdrajcy stanu. Bezwstydna, nikczemna osoba. Zdeptać, pomyślał: Giń! Giń, bezwstydnico.

W bladym świetle poranka, w kłębach dymu papierosowego i w oparach alkoholu widział Doroteę: z szeroko otwartymi ustami i zwróconymi w górę oczyma upadła bezgłośnie i wyzionęła ducha, widział to, i choć pod progiem świadomości dręczyła go już myśl, że śni, że majaczy, że ma halucynacje i jest pijany, poczuł odprężenie, spazm ustąpił.

TŁUMACZYŁA
IZABELLA CZERMAKOWA

„Nieprzezwyciężona przeszłość" — jest problemem wciąż jeszcze absorbującym wielu niemieckich pisarzy nawet tego pokolenia, które okres zbrodni hitlerowskich przeżywało jako dzieci. Należy do nich — młoda zachodnioberlińska pisarka, Johanna Moosdorf.

Jej powieść „Kręgi na wodzie" w interesujący sposób demonstruje historię jednego z wielu: dra Aleksandra Brockendorfa, „ukrywającego się" w Niemczech zachodnich, b. lekarza obozu koncentracyjnego, „mordercy z ramienia państwa".

Przez wiele lat prosperuje znakomicie ogólnie poważany obywatel Niemieckiej Republiki Federalnej — pan Stefan Jensen i jego „wyczarowana z powojennych gruzów" fabryka wyrobów farmaceutycznych; zdawałoby się, że nic złego nie może go już spotkać od rodaków, tylu ma się przecież przyjaciół, dobrych, wiernych przyjaciół...

A jednak pewnego dnia uwielbiana trzecia małżonka, Lena, najniewinniej w świecie rzuca pytanie: czy znasz niejakiego Aleksandra Brockendorfa, Stefanie? I niby zjawa zza grobu wyłania się cień pierwszej żony — Dorotei, tej sentymentalnej wariatki, jedynej zapory między nim i pełną dziewczęcego uroku Ewą. Czy to możliwe, by Dorotea uszła z życiem z zakładu dla nerwowo chorych? Czyżby ówczesne kierownictwo zakładu odważyło się sabotować kategoryczne zarządzenie führera?

* * *

Toczący się obecnie we Frankfurcie nad Menem proces zbrodniczych funkcjonariuszy hitlerowskich obozów koncentracyjnych przydaje powieści Johanny Moosdorf ponurej aktualności.

„Kręgi na wodzie" ukażą się w tym roku nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik".

S. C.

JERZY URBANKIEWICZ

Traktat o MIŁOŚCI

Powiedzieli, że złe miasto, że tylko bojki i kamgarny rządziły jego życiem. Wenecja! Neapol! — oto gdzie żyć, kochać i umierać!

A nieprawda. Na metr kwadratowy powierzchni Canale Grande nie przypada tylu samobójców z miłości, co na takąż powierzchnię każdego ze stawików, które gęsto pokrywały przestrzeń pomiędzy Brzozą a Jasienią. Wie się na ogół o Romeo i Julii, Napoleonie i Walewskiej, Simpsonowej i Edwardzie VIII. A o Wilhelmie Martinie zapomniano, choć do końca tamtego wieku Księży Młyn pamiętał jego historię i przytaczał przy licznych okazjach wielkich uczuć, jakie rodziły się wśród czerwonych ścian familijnych domów i czynszówek. Może słowa inaczej wyrażają miłość w pałacach, ale ludzie czują ją tak samo.

Czeladnik tkacki Wilhelm Martin przeżywał swoją miłość do Cieślikówny w tym samym mniej więcej czasie, kiedy następca austriackiego tronu, arcyksiążę Rudolf kochał baronównę Vecsera. O miłości Wilhelma mówili: „grzeszna miłość". O Rudolfa, że tragiczna, bo Vecsera nie była księżniczką krwi. Kiedy Rudolf i baronówna zadali sobie śmierć w Meyerlingu, koronowane głowy całej Europy współczuły Franz-Josefowi, że go Bóg tak dotkliwie doświadczył i sam papież słał słowa pociechy. A starą Martinową palcami wytykali, że syn do niewiernej dziewczyny strzelał i utopił się w szajblerowskim stawie. Tu, w Łodzi śpiewano o arcyksięciu i rozprzedano setki jego zdjęć. A o czeladniku tkackim zapomniano. Zapomniano choćby dlatego, że arcyksiążęta rzadko sobie w łeb palą. A w stawach łódzkich często znajdowano zwłoki zawiedzionych kochanków.

Ale to nie znaczy, że znała Łódź wyłącznie miłość tragiczną. Bywała wzruszająca.

Izaak Pławner (Limanowskiego 45) kochał... własną żonę. Kiedy go opuściła, przestał jeść z żalu po utraconej miłości. Wróciła po tygodniu, bo przypomniała sobie o zostawionym w szafie odcinku perkalu. I znalazła Izaaka bliskiego śmierci. Może by się o tym nikt nie dowiedział, ale musiała wezwać pogotowie.

Była miłość niezwykła. W 1888 pewna dobrze ułożona panienka z dobrego domu poszła z mamusią na pogrzeb młodzieńca. Zalewała się łzami w drodze na cmentarz i ledwo ją utulono z żalu nad otwartą mogiłą. Dziwiono się, bo nieboszczyka nie znała, nawet nie widziała za życia. Okazało się — była to miłość od pierwszego wejrzenia, tzn. od chwili, gdy go ujrzała na katafalku.

Zdarzała się miłość z wyrachowania. Bo jednak bojki i kamgarny zostawiły jakieś piętno na duszach. Więc szachrowali przyszłością spadkobierców ojcowie — przemysłowcy, ale i prosty ludek wkładał czasami pomiędzy zasuszone kwiatki — rachunki sum, które miały dać procent. Na przykład Stefania Seidel, krawcowa, chciała ziścić swoje pragnienie miłości w ten sposób, że zawarła ze studentem, Wasylem Słonickim układ następującej treści: zobowiązała się dawać mu po 50 zł miesięcznie do końca studiów, za co on ożeni się z nią, gdy uzyska dyplom. Ona dotrzymała umowy. On — nie. I nawet sąd ją potępił, że wyłudziła słowo od studenta.

Bywały qui pro quo w załatwianiu miłosnych porachunków. Niech mówi świadek wydarzenia: „Pan N. idąc prawym chodnikiem ulicy Konstantynowskiej do Nowego Rynku, na mostku koło domu Frydrycha został uderzony w twarz przez nadchodzącą z przodu dziewczynę. Nie chcąc być dłużnym, oddał jej laską.

— Czego pan chcesz ode mnie — zapytała.

— Niczego nie chcę, odpłacam za policzek otrzymany.

— Pan się chyba myli — odrzekła dziewczyna.

— Nie mylę się bynajmniej.

— W takim razie ja się pomyliłam — powiedziała napastnica i poszła swoją drogą".

Mieszczanin Józef Kanzik (lat 24) kochał się z Bronisławą Turobojską (lat 18) i i oboje lekce sobie ważyli przepisy, jakie dla tego uczucia i jego następstw stworzył świat. Ale — jak mówi ballada — „złe ludzie ich obszczekali pod względem wolnej miłości" i stanęli przed sądem piotrkowskim w Łodzi, na Średniej (Nowotki — tam, gdzie z frontu Akademia Medyczna, a w oficynie — Biuro Notarialne). Skazano ich na pokutę kościelną — oboje, a Józefa dodatkowo na 6 rubli miesięcznie alimentów. Pokutę odbyli. Ale zdaje się, grzeszyli dalej, bez państwowej i kościelnej aprobaty.

Przykładem zadziwiającej stałości w uczuciach był pewien rękodzielnik, który pokochał córkę majstra. Kiedy się jednak oświadczył, rodzice słuchać nie chcieli, mając na uwadze jego niski stan; Wkrótce po śmierci majstra rękodzielnik oświadczył się ponownie. Ale matka pozostała wierna mężowskim poglądom, znów odmówiła i wydała córkę za z góry upatrzonego majsterskiego syna, za co Bóg ją pokarał, bo wkrótce po ślubie zmarła. Małżeństwo trwało około 10 lat, do r. 1888. Mąż wtedy umarł, a rękodzielnik oświadczył się po raz trzeci i został przyjęty.

Niestety była Łódź terenem miłości złej, krzywdzącej. Ciągnął tu prosty ludek, ciągnęły dziewczęta wiejskie, nieświadome niebezpieczeństw czyhających na nie w dużym, rozwijającym się mieście. Nietrudno było spotkać majstra, który za poufałość udostępniał pracę i zarobki. Szaleli fabrykanccy synowie i młodzież kantorska. Toteż po stawach i dołach kloacznych znajdowano niemal codziennie trupy niemowląt i na każdym kroku trzeba się było strzec podrzutków. Głośna była w 1892 roku sprawa niejakiej Bednarskiej z Bałut, tzw. „fabrykantki aniołków". U niej znajdowały za grosze przytułek uwiedzione dziewczyny, rodziły i znikały. Znikały też dzieci. Tylko dzięki przypadkowi wykryto u Bednarskiej pięć trupów niemowlęcych.

I mówiąc o miłości, nie podobna pominąć jeszcze dwóch jej form.

W roku 1890 było w Łodzi trzysta pań trudniących się miłością zawodowo. Liczba ta stąd jest znana, że właśnie wtedy wydano im książeczki oraz ogłoszono przepisy zawód, ten regulujące, A więc nie wolno im było mieszkać w hotelach, domach zajezdnych, „chambres-garnier" i u akuszerek. Nie wolno hałasować, śpiewać w mieszkaniach, wychodzić na ulicę, stać przed sienią, bramą albo w oknie, zaczepiać, lub czymkolwiek zwracać na siebie uwagę przechodniów.

Nietrudno się domyślić, że gdyby owe panie do tych przepisów się zastosowały, zawód ich przestałby istnieć 70 lat temu.

I wreszcie terenem innej jeszcze formy miłości były niektóre lokale publiczne, zwłaszcza „tingel-tangle". Występowały tam. tzw. „szansonistki". Śpiewały one lekkie piosenki i „brały facetów na fundę". Szansonistki rozbiły niejedno poważne fabrykanckie małżeństwo i niejedną rodzinę fabrykancką przyprawiły o poważne kłopoty. Bowiem młode pokolenie szukało w tingel-tanglach wrażeń i to w pośpiechu, zanim rodzinny interes i tradycja nie wepchną młokosa na całe życie w ramiona otyłej Gretchen, córki innego fabrykanta. Ci młodzi pracownicy przemysłu, potocznie zwani „kantorowymi mleczakami", często okradali pryncypałów lub rodziców, nieśli skradzione ruble szansonistkom, a potem — ucieczka za granicę, albo samobójstwo.

A dziś? — Dziś nie słychać o samobójstwach z miłości. Czy ludzie stali się bardziej przywiązani do życia? Czy też upadła cena miłości?

— Arturze! Czy jest pan zdolny do poświęceń?

Rys. Janusz Wiktorowski

EWA NURCZYŃSKA

MAŁY JUBILEUSZ

Kulturalna Łódź obchodzi 20 lutego br. mały jubileusz — pięciolecie działania placówki, która na pewno stanowi powód jej dumy. Mowa tu o Kinie Studyjnym. Rodzącą się przed pięciu laty pierwszą w Polsce koncepcję specjalnego kina spotkała w Łodzi duża życzliwość. Środowisko zainteresowane filmem bardziej niż w innych miastach (no cóż? — polski Hollywood!) znalazło ludzi, dla których kultura filmowa mieszkańców Łodzi nie była sprawą obojętną. Łódzkie władze kinowe — dyrekcja Miejskiego Zarządu Kin i Centrali Wynajmu Filmów poparły pomysł, który zrodził się wśród członków studenckiego klubu filmowego. Niedługo potem sprawa wyszła poza krąg zainteresowań Wydziału Kultury, MZK i CWF i powołano Radę Artystyczną Kina Studyjnego, funkcję przewodniczącego Rady objął doc. dr B. Lewicki.

Skąd tyle troski o jedno, do tej pory niewielkie kino? Czy mieszkańcy miasta zauważyli jego specyfikę? Z okazji jubileuszu spróbujmy sobie na te pytania odpowiedzieć.

Kierując się lokalną dumą pozwolę sobie stwierdzić, że koncepcja łódzkiego Kina Studyjnego jest pierwszą w kraju i najbardziej ambitną.

Podstawą działalności tego kina jest selekcja filmów; pokazuje się te obrazy, którym można przydać epitet najlepszych, dobrych, ambitnych i dyskusyjnych. Nie idą one w kinie na zasadzie przypadku, nie wyświetla się ich tylko dlatego, że kończy się okres ich eksploatacji na polskich ekranach, pokazuje się w nim takie tytuły, które dają pewien obraz tego, co się w sztuce filmowej dzieje. Tworzy się określone cykle filmowe, prezentuje przeglądy. Oto ciekawe cykle: „Różne oblicze wojny", „Nowe w filmie radzieckim", „Amerykanie o sobie", „Drogi rozwoju westernu", „Dawne, dobre czasy", „Miłość na ekranie", „Przykłady do dyskusji nad problemami aktorstwa filmowego".

W jakim kinie i w jakich okolicznościach mógłby widz zobaczyć zestawy filmów takich reżyserów jak: Clair, Bergman, Kurosawa, Hitchcock, Ford, Wajda, Munk, Has, Kawalerowicz? Zaproponowano również widzom takie imprezy jak sesje wyjazdowe warszawskiego „Iluzjonu", w czasie których zaprezentowano przedwojenne filmy polskie i stare filmy radzieckie.

W Kinie Studyjnym zorganizowano Festiwal Etiud — prac studentów PWSTiF, przeglądy filmów „Czołówki", wytwórni w Bielsku i „Semaforu".

Warto również przypomnieć, że w 1962 roku trwał w Kinie Studyjnym Przegląd Filmów Naukowych, a w 1963 Przegląd Filmów Medycznych, który cieszył się dużym powodzeniem w zainteresowanych środowiskach. Z inicjatywy Rady Artystycznej zorganizowano w Łodzi już dwukrotnie Festiwal Festiwali Filmowych.

Ambicją Kina Stud. jest szukanie stale nowych form kontaktu z odbiorcą. Od pierwszych miesięcy istnienia kina wprowadza się bezpłatne informatory do bieżącego repertuaru, mówiące o najciekawszych filmach, twórcach i aktorach naszych czasów. Poprzez plakaty, fotosy, wystawy książek filmowych, prelekcje i dyskusje Rada kina stara się stworzyć wokół widza klimat, który pomoże mu zrozumieć i odczuć jedną z najpiękniejszych a wcale niełatwą sztukę filmową. Widz, który przychodzi do Kina Studyjnego zawsze spotyka się z wprowadzeniem w problematykę i wartości estetyczne filmu, kóry ma obejrzeć. Prelekcje na żywo i nagrane na taśmę — to codzienna forma pracy tego kina.

Co pewien czas Rada Artystyczna proponuje także imprezy, które stanowią dodatkową atrakcję dla bywalców kina. Są to spotkania, prelekcje i dyskusje z ludźmi, którzy w sprawach kina mają wiele do powiedzenia. Działalność Kina Studyjnego inaugurował Jerzy Toeplitz, który odwiedził później kino, wygłaszając odczyt o nurtach artystycznych współczesnej sztuki filmowej. Bolesław Lewicki mówił o nowych filmach radzieckich, Aleksander Jackiewicz oceniał twórczość Andrzeja Munka. Kino Studyjne gościło radzieckich reżyserów Czuchraja i Czulukina oraz krytyka Abramowa. Spotykali się z łódzką publicznością reżyserzy: Ford, Wajda, Bohdziewicz, Nehrebecki i Kuźmiński.

By dać pełny obraz działania Rady Artystycznej warto wspomnieć, że była ona inicjatorem ogólnopolskiej narady, poświęconej kinom studyjnym, na której byli obecni przedstawiciele najwyższych władz kinematografii i dyrektorzy wszystkich placówek kinematograficznych w Polsce.

Za przykładem Łodzi, kina studyjne powstały w Warszawie, Gdańsku, Poznaniu, Krakowie i dziś w końcowym stadium opracowania znajduje się statut omawiający formy działania i organizacji kin tego typu w Polsce.

W samej Łodzi powołano drugie kino typu studyjnego, jest to studenckie kino „Studio"; w województwie łódzkim kina studyjne powstały w tym roku w Pabianicach, Sieradzu i Piotrkowie. Te przykłady są najlepszą legitymacją dla pionierskiej działalności łódzkiego Kina Studyjnego.

Kończąc jubileuszowe wnioski warto zadać sobie pytanie, czy publiczność aprobuje ten typ kina. Chyba tak, skoro wszystkie oficjalne dane statystyczne stawiają Kino Studyjne w rzędzie najlepiej prosperujących kin w Łodzi, skoro za pewnik przyjąć można, że np.: „Rashomon" schodzi w szybkim czasie z ekranu kina premierowego, a w Kinie Studyjnym grany jest przy pełnej widowni. Ludzie mają swoje ulubione kawiarnie, biblioteki, teatry i pisma, mają widać i swoje kino, w którym można obcować z wielką sztuką.

EWA ROMANOWSKA

— Przywiozła Pani zapewne ogrom nie dużo wrażeń, więc nie wiem po prostu o co najpierw zapytać.

— Czy nie napiłabym się herbaty.

— Bardzo gorącej?

— Jeszcze od czasu do czasu jest mi zimno i mam dreszcze, chociaż do Łodzi przyjechałam przed prawie czteroma miesiącami.

— W Dżakarcie bardzo gorąco?

— To co Polak rozumie pod pojęciem „gorąco" — w Indonezji nazwano by miłym, orzeźwiającym chłodkiem. Tam temperatura dochodzi do 70 stopni powyżej zera. Tyle przynajmniej zobaczyłam pewnego jesiennego dnia na termometrze przybitym do drzwi hotelu.

— Pani wtedy wychodziła na ulicę?

— Nie, wracałam z ulicy, żeby pod dachem hotelu przetrwać trzy — cztery najbardziej ciężkie w ciągu dnia godziny. Zresztą w tych właśnie godzinach: między dwunastą a czwartą po południu życie w Dżakarcie prawie zupełnie zamiera. Ludzie bogaci i cudzoziemcy kryją się do domów i hoteli z dobrą wentylacją, kąpią się w zakrytych od słońca basenach. Biedacy — ci co domów nie mają w ogóle (a jest ich w Indonezji bardzo dużo) nakrywają głowę kawałkiem płótna i chowają się w skąpym cieniu ścian wysokich domów.

— Słyszałam, że w Indonezji kobieta nie ma żadnych praw, że po prostu nie jest człowiekiem. Jakże więc Pani dawała sobie tam radę?

— Ja byłam cudzoziemką, a cudzoziemki to już ludzie. Tamtejsze kobiety znajdują się istotnie w opłakanej, delikatnie mówiąc, sytuacji. Kobiety indonezyjskie już od dzieciństwa wychowuje się w przekonaniu, że żyją wyłącznie po to, aby służyć mężczyźnie i rodzić dzieci. Kobieta indonezyjska nie wychodzi za mąż. Mężczyzna bierze sobie kobietę jaka jemu się podoba i w urzędzie podpisuje kontrakt. Taki mężczyzna, który podpisał kontrakt na cztery, powiedzmy, lata, uważany jest za skończonego idiotę. Uznanie zyskuje ten, który wyznacza termin roczny, no, dwuletni z górą. W Indonezji nie ma ślubów i nie ma rozwodów. Jeżeli kobieta, na którą mężczyzna podpisał kontrakt znudzi się panu i władcy, wtedy prowadzi ją do urzędu i mówi głośno: „Nie chcę cię, nie chcę cię, nie chcę cię!!!". To wystarcza. Mężczyzna jest wolny.

— Jeszcze ciągle jest pani chłodno?

— Kiedy opowiadam o Dżakarcie, potrafię się nawet spocić. Wspomnienia. Np.: dwa ogromne węże co to ni z tego ni z owego, nie wiadomo skąd stanęły „dęba" na środku pokoju. Albo: lot nad Himalajami — chmury, ostre wierzchołki gór, a tam trochę niżej, wydaje się w zasięgu wyciągniętej ręki szczątki samolotów, których nikt nie próbował i nie będzie próbował usunąć sprzed oczu żyjących.

— Co pani przywiozła do Łodzi, na pamiątkę?

— Niewiele. Właściwie wszystkie pieniądze wydałam na wodę, która jest strasznie droga, a pić ją trzeba bez przerwy. Przywiozłam małą flagę państwową Indonezji.

— Ależ to flaga Polski!

— Wszyscy mówią to samo. Sugestia: kolor biało-czerwony. Tylko u nich czerwony jest na górze.

Rozmawiała: H. B.

NOWY JORK

Brud, stosy śmieci, puszek, pudełek, papierów, gazet walających się na peronach, w wagonach kolejowych, po ulicach, w metrze i autobusie, to było pierwsze wrażenie z Nowego Jorku. Nie zaskakuje widok czterystumetrowego Empire State Building, nie zaskakuje nowoczesna architektura Rockefeller Center. To są słynne, znane „cuda XX wieku". Zaskakuje to niespotykane zaśmiecenie. Amerykanie w życiu prywatnym są przesadnie higieniczni; istni bakteriobójcy. Z drugiej strony istnieją sprzątacze automatyczne zamiatarki itp. Cóż to jednak znaczy wobec zwyczaju rzucania na ziemię wszystkiego, co niepotrzebne: przeczytanej gazety (sześćdziesiąt do osiemdziesięciu stron!), kubka z automatycznego baru, pudełka po śniadaniu itd. Na nic ulotki i napisy: „Nie bądź śmiecącą pluskwą, zachowaj Amerykę czystą", na nic kary — w niektórych stanach dochodzące do stu dolarów — za wyrzucanie czegokolwiek przez okno samochodu. Ulice miast amerykańskich (może poza jedynym Waszyngtonem) są żałośnie brudne, a wzdłuż autostrad ciągnie się rdzewiejące pasmo puszek po piwie. W Nowym Jorku zresztą brak koszy na śmieci. W czasie mego pobytu w Stanach Zjednoczonych przeczytałem w prasie o wydaniu przez władze miejskie Nowego Jorku wojny śmieciom. Zatrudniono dodatkowych sprzataczy, pojawiły się nieliczne zresztą, kosze. Pół roku później, będąc ponownie w tym mieście, nie spostrzegłem jednak rezultatów ofensywy.

„Nowy Jork — wszystko dla każdego". „Nowy Jork — skrzyżowanie dróg świata". „Bajeczny Nowy Jork — serce świata". „Tu znajduje się pępek świata — Times Square".

Zacznijmy więc wzorem tysięcy turystów podróż od Times Square. Szary, brudny, rojny placyk okolony niskimi, jak na Nowy Jork, budynkami nie pierwszej młodości.

— No, sir, It's a bad idea. You should broke up here at night. — usłyszałem od mego przygodnego kompana przy barze — Nie panie. To zły pomysł. Powinien pan wpaść tu w nocy. Times Square to centrum teatralno-rozrywkowe. O, w nocy to tu jest inne życie!

Times Square nosi tu nazwę: Bagdadu przy kolejce podziemnej. Na stacji metra, tuż obok „pępka świata" w podziemnej księgarni-kiosku skład najgorszej szmiry. Wystawiono na sprzedaż publiczną paczki pornograficznych zdjęć (blondynki? brunetki? czarne? a może tłuste? — nasz klient nasz pan), pisma „nudystów", magazyny Play Boy, Adam, Eva, Eros. Za przesyłanie pocztą tego ostatniego magazynu skazano niejakiego Ginzburga z pobliskiej Pensylwanii na pięć lat więzienia i czterdzieści dwa tysiące dolarów grzywny. Obok w obrotowych stelażach potop książek. Okładki krzyczą: sex, morderstwo, sadyzm, gwałt. To pokupne pocket-book — tanie, małe, wychodzące w ogromnych nakładach książeczki-pasożyty, książeczki-zmory, które zalewają rynek księgarski i ogłupiają czytelnika. Na stelażu tuż obok, podobnie jak tamte krzyczące, książki Caldwella, Steinbecka, Irvina Shaw — świetne dzieła współczesnych klasyków. Czemu wydawcy starają się przemycić te doskonałe twory pod maską tamtych pstrokatych pustoci? Czy chodzi tu o zastosowanie Boy'owskiego chwytu z opaską „tylko dla dorosłych"?

Nowy Jork w chwili obecnej jest kompleksem pięciu dzielnic-miast, liczących w sumie ponad osiem milionów mieszkańców. Główną dzielnicą jest Manhattan, wydłużona w kierunku południkowym wyspa. Z zachodu ogranicza ją rzeka Hudson, że wschodu rzeka East — Wschodnia. Sam Manhattan posiada około trzech milionów mieszkańców. Ale w gmachach tej dzielnicy jest miejsce na dwadzieścia pięć milionów mieszkańców. Różnica tych dwu cyfr daje pojęcie z jednej strony o ilości biur, banków, sklepów, kin i teatrów Manhattanu, z drugiej o masie ludzi przybywających tu codziennie do pracy.

Niezwykle szybki rozwój miasto zawdzięcza przede wszystkim korzystnym warunkom naturalnym: podłożu geologicznemu, bardzo dogodnym warunkom kotwiczenia oraz względnej bliskości Europy, w stosunku do innych miast USA. Manhattan to płyta wspaniałego granitu, na której można budować prawie bez fundamentów, w której można kuć i drążyć bez obawy zawalenia się chodników i sztolni. Dzięki temu możliwe było budowanie superdrapaczy i gęstej sieci metra.

„Nowy Jork — wszystko dla każdego". Wędrując ulicami z jednego końca miasta w drugi słyszy się różnojęzyczny gwar mieszkańców kosmopolitycznego miasta. Siedemdziesięcioma pięcioma językami mówią mieszkańcy Nowego Jorku. Siedemdziesiąt pięć mikro-państw, skupisk etnicznych. Jest w dolnym Manhattanie „Chińskie Miasto", „Nowa Italia", dzielnica hebrajska, a nieopodal Greenwich Village — dzielnicy cyganerii artystycznej — znajduje się dzielnica polsko-ukraińska. W północnej części Manhattanu, w Harlemie, są dzielnice murzyńska i węgierska.

Nowy Jork to luksusowe apartamenty na 5 Avenue, Sulton Place, czy Park Avenue po wschodniej stronie centralnego i górnego Manhattanu, apartamenty kosztujące po sto tysięcy dolarów, z lokatorami o takich nazwiskach jak: Nixon, Rockefeller, Hearst. Nowy Jork to również domy Harlemu, w których ludność, głównie murzyńska, żyje w warunkach wręcz niewiarogodnych.

Zorganizowanie przez rząd federalny urzędu dla niesienia pomocy w budownictwie domów mieszkalnych o budżecie liczonym w setki milionów dolarów rocznie polepszyło sytuację jedynie przejściowo. Opór prywatnych właścicieli dzierżawionych mieszkań (tzw. slumlords, co w wolnym przekładzie oznacza władcę śmietnika), napływ ludności, a ponad wszystko pogarszający się stale stan starych mieszkań w 1963 roku doprowadziły do wielkiego strajku mieszkańców Harlemu. Transparenty wołają: „Do więzienia slumlordów Harlem znów ruszył". Amerykański tygodnik „Newsweek" cytuje fragment listu kobiety: „Szczury śpią w łóżku z dzieckiem. Nory szczurze są tak duże, że koty nimi chodzą. Krany nieczynne, kanalizacja zatkana..." I komentarz autora artykułu: „...w 1950 roku szesnaście procent mieszkań Nowego Jorku było poniżej dozwolonego standardu, dziś jest jeszcze gorzej". Jaka jest cena mieszkania w tej dzielnicy? Proszę bardzo, niebagatelna, trzydzieści siedem do pięćdziesięciu dolarów na miesiąc. A więc strajk mieszkańców, bojkot płatniczy, a więc komitet strajkowy, transparenty i hasła, jak to: „Nie mamy nic, a więc wszystko do zdobycia".

„Nowy Jork — wszystko dla każdego." Stała siedziba Organizacji Narodów Zjednoczonych znajduje się w czworoboku pomiędzy East River, 1 Avenue a 42 i 48 ulicą. Piękny kompleks budynków jest jednym z ładniejszych fragmentów zabudowy miasta. Przewodniczkami są dziewczyny z rozmaitych krajów, należących do ONZ, w stroju upodabniającym je do stewardes. Są też dwie Polki, przystojne i niezwykle dumne. Poprzez poszczególne pomieszczenia komisji (obrady trwają!), wycieczka nieodmiennie kończy się w piwnicach. Są tu restauracja, kafeteria oraz sklepy z pamiątkami. Sklepiki-kioski są narodowe — osobno sklepik USA, Kanady, Kenii, czy Polski. Och, moi drodzy, płakać mi się chce na wspomnienie brzydactw, które tam nasi najlepsi handlowcy (chciałoby się napisać: handlarze) pokazują. Nie wiem, kto to prowadzi, ale począwszy od brudnej, zakurzonej gabloty reklamowej z poprzekrzywianymi kukłami w pożałowania godnych „strojach ludowych" aż po sam sposób sprzedawania (jak w „Delikatesach" na Piotrkowskiej; oczywiście nie biorąc pod uwagę ilości kupujących) wszystko tchnie „egzotyką" polskiego handlu. W całym gmachu Sekretariatu porozwieszane i porozkładane dary różnych narodów: obrazy, kilimy, rzeźby, stare arrasy. Każdy z nas tworzących ten różnojęzyczny kolorowy tłum turystów, znajduje tu coś własnego, jakiś okruch kraju.

Po przeciwnej stronie 1 Avenue, naprzeciw gmachu ONZ, stoi grupa ludzi obserwujących film. Jak się okazuje, mieści się tu siedziba jakiejś organizacji antykomunistycznej, która wyświetla filmy o groźbie komunizmu, planach komunizmu, zbrodniach komunizmu... „Nowy Jork — wszystko dla każdego".

„Nowy Jork — wszystko dla każdego". Na 5 Avenue znajduje się muzeum Salomona Guggenheima. Niedawno otwarte (w 1959 roku) jest bez wątpienia najlepszym muzeum jakie widziałem. Zaprojektowane zostało przez F. L. Wrighta i jest chyba jednym z najlepszych budynków tego wielkiego architekta. Zewnętrzna forma z bliska jest nieprzyjemna: szara, duża, obca w kształcie bryła betonu. Wewnątrz dużo światła, zieleni, szemrząca woda zza szklanej ściany patio. Funkcjonalnie rozmieszczone: kasa, szatnia, wejście do kafeterii, dojście do wind. Główny gmach wystawowy o kształcie odwróconego stożka jest pusty wewnątrz. Przez oszklony dach wpada dużo światła. Windą wyjeżdża się na najwyższy poziom skąd czterystumetrową spiralną wstęgą schodzi się w dół. Obrazy wiszące na ścianach i we wnękach można oglądać z daleka, z bliska, z góry i z dołu... Pnące rośliny i wolna przestrzeń w środku budynku, fakt, że ogląda się galerie schodząc, liczne ławki, gdzie można odpocząć jednocześnie kontemplując obrazy a w końcu niewielka ilość eksponatów pogrupowanych tematycznie (na przykład: element fantazji w malarstwie od renesansu do surrealistów, ostatnie obrazy malarzy amerykańskich, grafika Picassa itp.) powodują, że muzeum nie nuży. Galeria dysponuje dużymi zbiorami przechowywanymi w specjalnym ognio - wodo - wstrząso - złodziejo - odpornym magazynie -skarbcu. Dzięki temu możliwe są tu częste zmiany wystaw, stąd w odróżnieniu od większości muzeów jest ono zawsze ciekawe, zawsze warte odwiedzenia. Muzeum kolekcjonuje głównie obrazy malarzy XX wieku i celem zachęty dla żyjących twórców co dwa lata przyznaje międzynarodową nagrodę Guggenheima (dziesięć tysięcy dolarów), która jest jedną z najwyżej cenionych nagród artystycznych.

Muzeum Guggenheima stoi tuż przy Parku Centralnym. W Parku czy przy Parku znajdują się muzea (sztuki i przyrodnicze), postój dorożek konnych, sklep Tiffaniego z najdroższą biżuterią świata, liczne luksusowe hotele i.., obelisk egipski, taki jak w Paryżu, Rzymie czy Kairze. Obelisk Kleopatry, dar Egiptu dla Stanów. Sprowadzenie go tu kosztowało sto kilkadziesiąt tysięcy dolarów. Również chyba rekord... w cenie odebrania prezentu.

„Nowy Jork — wszystko dla każdego". Zbliża się wieczór. Tłum płynący ulicami gęstnieje. Czas wrócić na Times Square. Brzydka, jarmarcz na prowincjonalność „pępka świata" ginie w blasku neonów.

Ogromne, kilkupiętrowe reklamy świetlne, wielkie afisze (pięć na sześć metrów), odrapane fasady starych teatrzyków, budy z zabawkami, jarmarczne sklepiki z często wręcz odrażającymi „pamiątkami" (np. imitacje różnych, często chorych, części ciała), pierścienie dymu buchające z ogromnej reklamy papierosów, restauracje i tanchudy, wózki z gorącymi parówkami, kioski z gazetami i magazynami a ponad wszystko nieustający tłum ludzi — półtora do dwu milionów ludzi dziennie — oto czym jest Times Square.

„Nowy Jork — wszystko dla każdego". Krążę ulicami miasta chłonąc jego zapach i rytm. Jest mi obce, mimo tłumów — bezludne. Nie mogę nawiązać z nim kontaktu. Dziwne wrażenie — czuję się jak w rekwizytorni teatralnej. Może brak tu tego ciepłego światła mieszkalnych okien na wąskich i cichych uliczkach naszych miast... To miasto jest samo dla siebie — nawet nie wyniosłe, nie. Po prostu zimne, obce, jak gdyby porzucone przez przybyszów z innych planet. Nie wydaje mi się bym ja, ja sam jedynie, był tu obcym. Przeciwnie, ten kipiący tłum spieszących dokądś, czy spacerujących ludzi wydaje się równie jak ja obcy temu miastu.

Kiedyś, w trakcie rozmowy ze Steinbeckiem wyraziłem zdziwienie jego wyborem miejsca zamieszkania. Ot, w trakcie rozmowy na temat mych wrażeń ze Stanów zaczęliśmy nagle „wybrzydzać" na Nowy Jork, gdy nagle zreflektowałem się: przecież Steinbeck mieszka tu od kilkudziesięciu już lat! Dlaczego?

— Proszę Pana, tylko Nowy Jork nadaje się do mieszkania — stwierdził autorytatywnie mój rozmówca. — Nie Kalifornia, nie Long Island, gdzie jak pan wie, mamy willę. To mieszkanie na wschodnim Manhattanie jest naszym domem. Tak, tylko Nowy Jork. Tylko tu można być wolnym, tylko tu można robić, co się chce. Można zginąć w tłumie, można wyłączyć telefon i zamknąć drzwi — można być samym i nikogo to nic nie obchodzi. Można pójść do teatru, czy na koncert. Zadzwonić do przyjaciół. Niech pan to zrobi na farmie czy w małym mieście, gdzie wszyscy się znają!

A jednak ten wielki pisarz jest piewcą kalifornijskich prostych ludzi mieszkających i pochodzących z małych osiedli, farm i miasteczek. Życie tych środowisk było ciekawszym tematem niż życie w Nowym Jorku.

LECH UTRACKI

STARSI PANOWIE I RZECZYWISTOŚĆ

Reakcje na kabaretowe wystąpienie Dwóch Starszych Panów są na pewno różne: od zamykania odbiorników (ta metoda ma wbrew pozorom wielu zwolenników), przez umiarkowane aplauzy, do entuzjastycznych zapewnień, że nie ma nic lepszego w polskiej piosence, tekście rozrywkowym, aktorstwie kabaretowym. Tak czy owak zebrała się spora grupa wiernych i wytrwałych telewidzów, którzy wypatrują w programach nowych wystąpień Przybory i Wasowskiego i czekają na pojawienie się ich stałej trupy aktorskiej. To ci telewidzowie, którzy wolą widowisko złożone z dowcipów wygłoszonych czy przedstawionych „mimochodem", od żelaznych programów rozrywkowych z Lipska i chętniej kupią do swojej płytoteki nagrania Wiesława Michnikowskiego, niż nagrania Katarzyny Bovery. Obejrzeli w Kabarecie kilka seansów tekstowo-piosenkowych i kilka piosenkowych. Niedawno zaprezentowano im nowy — „Nieznanych sprawców". Poczuli się zawiedzeni, bawili się gorzej, próbują zbadać przyczyny własnego zawodu. Czy leżą one w odmiennej niż dotychczas konstrukcji przedstawienia? Poprzednio bowiem dawano nam program luźno zmontowanych scenek, połączonych piosenką, wiadomo było, że nie idzie o dramaturgiczną konsekwencję akcji. „Nieznani sprawcy" zaś są teatralnie zamkniętą całością, jest ekspozycja i końcowa pointa, jest przyczyna (sentymentalne skłonności jednego z Panów) i skutek (związana hrabina Tyłbaczewska), jest również piękny pretekst w postaci Kaliny Jędrusik. W środku, jak zawsze, są piosenki. Wszystko na swoim miejscu, nie tu wobec tego przyczyna niepowodzenia. Dlaczego więc całość wydaje się mniej dowcipna? Może lepiej zapytać inaczej — co przedtem bawiło w Kabarecie najbardziej? Przede wszystkim chyba Dwaj Starsi, wyposażeni w doskonałe maniery i nieco anachroniczni Panowie, którym zdarzały się przeróżne, bardzo niezwykłe i zupełnie nie pasujące do ich manier przygody. Ta zasada zresztą została zachowana w „Nieznanych sprawcach". Nie co dzień przecież przytrafia nam się na sygnał trąbki dyliżansu znaleźć pod progiem zakneblowaną hrabinę Tyłbaczewską.

Po wtóre cieszyliśmy się z tekstów i melodii, które w znacznej części były parodią oblegowych postaci polskiej (a i obcej) piosenki, wykpieniem do końca sentymentalnej bzdury poetyckiej i muzycznej. Przybora i Wasowski robią to doskonale, dość przypomnieć „Panią Monikę" lub „Ty kąpiesz się nie dla mnie".

Wreszcie z przyjemnością obserwowaliśmy „prywatny" charakter interpretacji kabaretowych dowcipów, który wywoływał u oglądającego wrażenie, że pomysły te są przeznaczone wyłącznie dla niego.

Właściwie znaleźliśmy te wszystkie elementy, w lepszym lub gorszym wydaniu, w ostatnim przedstawieniu Kabaretu. Brakło tylko jednego. Zazwyczaj byliśmy skłonni szukać potwierdzenia niezwykłych sytuacji (w których znajdowali się Starsi Panowie) w naszym życiowym doświadczeniu. I potwierdzenia takie zazwyczaj znajdowaliśmy. Wszystko jedno, czy doświadczenie wynikało ze znajomości Biblii (gdy w łazience objawiła się dziewczyna zrodzona z żeberka kaloryferów), czy też ze znajomości współczesnych obyczajów (gdy śpiewano piosenkę o niezwykłej symbiozie Kapturka i Wilka, lub piosenkę o okrutnie krzywdzącym polskie dziewczęta cudzoziemcu Osculati). Zestawienie sytuacji wynikającej z powszechnego doświadczenia z sytuacją jednorazowo kreowaną jest chyba zawsze podstawą uznania lub nieuznania dowcipu. Starsi Panowie pozwalali nam skonfrontować swoje sytuacje kabaretowe z rzeczywistością. Ta konfrontacja dopiero wywołała reakcje prowadzące do zaakceptowania ich typu humoru. Za schematami większości sytuacji przedstawionych w „Nieznanych sprawcach" nie stoi nic, co przywoływałoby nasze doświadczenia. Jakie skojarzenia wywołuje schemat hrabina-iluzjonista, lub długa sekwencja wizyty u erotologa? Są to dowcipy czysto absurdalne i, jako sytuacje zbliżające się do purnonsensu, mogą być bardziej lub mniej pomysłowe, ale nie wywołają chyba szczerej zabawy. Starsi Panowie wytrwale zaspokajali potrzebę prawdziwie dowcipnej i inteligentnej rozrywki. Pięciolecie ich Kabaretu niezbyt fortunnie zostało zamknięte parodią widowiska sensacyjnego. Wątpliwe, czy jest to wynik wyczerpania się konceptu. Po jubileuszowym potknięciu wielbiciele czekają na nowe programy.

MIKS

Drogiemu Jubilatowi

JÓZEFOWI PILARSKIEMU

zasłużonemu artyście i seniorowi teatru łódzkiego gratulacje składa

Redakcja „Odgłosy"

Józef Pilarski w roli prof. Orlińskiego w sztuce „Maturzyści" J. Skowrońskiego.

Fot. S. Dukiewicz

PÓŁ WIEKU NA SCENIE

Rozmowa z Józefem Pilarskim

Józef Pilarski, najstarszy aktor scen łódzkich, obchodzi w tym roku 50-letni jubileusz swojej pracy scenicznej. Pół wieku temu wstępuje on jako początkujący dwudziestoletni aktor do zespołu łódzkiego Teatru Polskiego. Zaangażowany z początku na emploi pierwszych amantów, po jakimś czasie przechodzi na role charakterystyczne. Najbardziej popularne jego kreacje to Chłopicki w „Warszawiance", a po wojnie — stary Karhan w sztuce Vaska Kani „Brygada szlifierza Karhana". Zasługi Józefa Pilarskiego dla życia kulturalnego Łodzi nie kończą się jednak na karierze wybitnego aktora. Nazwisko jego wiążą łodzianie z dziejami stworzonego przez niego i w ciągu sześciu lat z dużym powodzeniem prowadzonego Teatru Popularnego — łódzkiej sceny robotniczej. W ostatnich powojennych latach — Józef Pilarski wiąże swój warsztat aktora z nowatorską sceną Teatru Nowego.

Ale pozwólmy mówić samemu jubilatowi.

Na nasze pytanie: „Panie Józefie, pochodzi pan ze środowiska robotniczego, ojciec pana był bodaj że stolarzem, otoczenie z pewnością niewiele miało wspólnego ze sztuką, którą w tamtych czasach wcale nie udostępniano ogółowi, skąd też wzięło początek pańskie zainteresowanie teatrem?" — zasłużony aktor, a w życiu towarzyskim ogólnie lubiany ujmujący gawędziarz odpowiedział:

— Teatrem? To może nie było tak, że od razu teatrem. Otóż w szkole moje rysunki pokazywano kolegom jako wzorowe, wywieszano na tablicy. Postanowiłem więc, że zostanę artystą malarzem. Zbierałem reprodukcje z tygodników ilustrowanych, chodziłem na wystawy, ale powiem, że największe wrażenie robiły na mnie dekoracje w teatrze. Wtedy malowano je realistycznie, jak wielkie obrazy. Otóż wydawały mi się tak wspaniałe, że nawet w końcu zwątpiłem w swoje siły: czyżbym też tak potrafił! Raczej zapragnąłem znaleźć się na ich tle, na scenie — i tak po prostu zacząłem marzyć o zawodzie aktora. Ojciec mój wprawdzie wolał, żebym jak on, coś tam ciosał czy heblował, ale niczego mi nie zabraniał, uważał, że rozsądek przyjdzie z wiekiem. Matka — ta popierała, nawet ułatwiała jak mogła, gdy doszło do mojego aktorskiego samokształcenia. Bo oczywiście wiedziałem, że to nie przyjdzie samo, że trzeba się uczyć, jak każdego rzemiosła.

Grał wtedy u Zelwerowicza w teatrze „Victoria" Antoni Siemaszko i jego wybrałem za swego pierwszego nauczyciela. Po długich wahaniach zdecydowałem się do niego pójść. Mieszkał na ulicy Zawadzkiej, obecnie Próchnika. Dzień wybrałem, nie zastanowiwszy się, niezbyt odpowiedni — wigilię Bożego Narodzenia. Ale teatry w wigilię były nieczynne i pomyślałem, że zostanę Siemaszko w domu Onieśmielony pukam i ktoś się odezwał za drzwiami: „Proszę". Więc wchodzę i widzę: przy kaflowym piecu siedzi i grzeje ręce przy ogniu. Patrzy na mnie pytająco, a ja — nic, kompletnie nic nie mogę z siebie wydobyć, ani słowa. Potem jednak, nie pamiętam już jak, wytłumaczyłem o co mi chodzi. A on mi na to: „Chłopcze drogi, a czy ty wiesz, że aktorstwo funta kłaków nie jest warte. Jeśli do mnie przychodzisz po radę, to źle trafiłeś. „Zacząłem go prosić, więc posadził obok siebie, wypytując już bardziej przychylnym tonem. Poprosił żebym mu coś przeczytał. Zarecytowałem „Odę do młodości". „No dobrze — mówi — przychodź do mnie, spróbujemy". I tak zaczęło się moje terminowanie.

— A kiedy, w jakich okolicznościach rozpoczął pan pracę na scenie,

JÓZEF PILARSKI — Jak już wspomniałem, zaangażowano mnie do zespołu Teatru Polskiego przy ulicy Cegielnianej. Ale grać na scenie zacząłem dwa lata wcześniej. Otóż było to bodajże w roku 1911, albo i w 1912. Miałem wtedy osiemnaście lat. Otrzymałem list od swego przyjaciela Stanisława Skowrońskiego, aktora już z pewnym stażem, który wyjechał wtedy z teatrem objazdowym. W liście była propozycja, abym do nich się dołączył, a gdybym się zgodził, to miałem zakupić w Łodzi sztuczne brody i wąsy, szminki do charakteryzacji i przyjechać z tym do Kazimierza nad Wisłą. Oczywiście niedługo się namyślałem. Stryj Andrzej dał mi pieniądze na podróż, kupiłem szminki i krepę, zapakowałem do nowej walizki i hajda! — jadę w świat. W Koluszkach trzeba było czekać kilka godzin na pociąg do Warszawy. Poszedłem z jakimś młodzieńcem, którego poznałem w drodze, do restauracji dworcowej. Zamówiliśmy herbatę, może jajecznicę ale widocznie coś takiego miałem w sobie, co wydało się podejrzane, bo po jakimś czasie dochodzi do nas żandarm carski. „Gaspada — mówi — pazwolcie s wieszczami w żandarmskuju kancelariju". A tam kazali nam pokazać nasze paszporty i otworzyć walizki. Otwieram swoją, a z niej na biurko wysypują się brody i wąsy. Oficer żandarmski zdębiał: „Czto takoje — wola — riewolucjonier, zagoworszczik!" „Nie — odpowiadam — tylko, aktor, artist". Pokazałem im list przyjaciela i jakoś uwierzyli. Wreszcie przyjeżdżam do Kazimierza, znalazłem hotel, w którym mieszkali aktorzy, pukam, wchodzę i cofam się, bo widzę — wprost na podłodze, na słomie pokotem leżą mężczyźni i kobiety. Ale słyszę znajomy, zachrypnięty głos z głębi pokoju: „Józek!" Skowroński, oczywiście! Ubrał się i wyszedł ze mną, przeprosił, że nie uprzedził, nie napisał w liście w jakich warunkach tam mieszkają. Wcale nie zraziłem się, wiedziałem z opowiadań, że w życiu początkujących aktorów bywa różnie. I tego dnia rozpocząłem już próby.

No cóż, potem zespół się rozpadł, jeździłem ze Skowrońskim po prowincji. W roku 1913 wróciliśmy do Łodzi i wtedy zacząłem moją pracę z Emilem Chaberskim. Chaberski zmontował objazdowy teatr, mieliśmy jechać do miast centralnej Rosji, ale utkwiliśmy w Sosnowcu, bo tam władze odebrały nam prawo dalszego występowania. Zostaliśmy w Sosnowcu na sezon w miejscowym teatrze. Później znów była Łódź, no i ten prawdziwy początek w Teatrze Polskim.

— Jest pan żywą historią Łodzi. Był pan świadkiem debiutów czołowych aktorów polskich, współpracował pan z Solskim, Zelwerowiczem, Fertnerem, Kamińskim. A pionierskie przedsięwzięcie pana, ten teatr, z którym łodzianie łączą nazwisko pana!

JÓZEF PILARSKI — A! Ma pan na myśli Teatr Popularny. Tak, tak. Na to oddałem sześć lat życia. Ale cóż ja mówię: sześć lat! Pomysł takiego teatru, teatru dla robotników powstał już znacznie wcześniej.

— Czy nie opowiedziałby pan o tym obszerniej?

— JÓZEF PILARSKI — Otóż panie, byłem w bliskich kontaktach z robotnikami. Wiedziałem, że teatry, które wtedy istniały, nie były dla nich. Repertuar niezrozumiały, obcy robotnikowi, cena biletów niedostępna i w ogóle prosty człowiek czułby się tam intruzem, wśród snobistycznej publiczności. Postanowiłem więc stworzyć dla robotników ich własny teatr, który byłby i szkołą, i rozrywką. Teraz dużo się zmieniło, głód wiedzy nie jest już taki ostry, szkoły otwarto dla wszystkich, a w tamtych czasach robotnik kształcił się z własnej woli, jak mógł. Na publicznych odczytach zawsze było tłoczno. Widząc to pomyślałem, że przecież teatr też może szerzyć wiedzę, łącząc pożyteczne z przyjemnym. Pierwsza trudność polegała na wyszukaniu odpowiedniego, wolnego lokalu. Znalazłem taką salę — w budynku przyfabrycznym, w którym dawniej mieściła się stołówka dla robotników zakładów Poznańskiego. Budynek był nieużywany i administracja fabryczna łatwo go nam oddała do eksploatacji. Przebudowałem tylko za zebrane pieniądze zaplecze zaplanowanej sceny. Do współpracy zaprosiłem ludzi, których bezinteresowności byłem pewny. Niczego nie mogłem im gwarantować, bo i sam ryzykowałem własnymi oszczędnościami. Ale byli tacy zapaleńcy, nie tylko ja jeden. I tak powstało nasze zrzeszenie. We wrześniu 1923 roku otworzyliśmy nasz pierwszy sezon sztuką Korzeniowskiego „Karpaccy górale". Marzyliśmy o sukcesie, ale nie docenialiśmy robotnika, jako widza. Okazało się, że sala nie mieści wszystkich chętnych. Po jakimś czasie przyszła do nas delegacja prosząc, abyśmy dawali przedstawienia i w innych dzielnicach miasta. Uzupełniłem zespół i w niedzielę zaczęliśmy wystawiać najbardziej popularne sztuki w sali stołówki zakładów Geyera. Ludzie nazywali ją drugą sceną „popularną".

Przypomniał mi pan słowa Stanisławskiego o wychowawczej roli teatru, że jeśli widz znajdzie w przedstawieniu odpowiedź na swoje myśli, dążenia, to polubił teatr, uzna go za bliski sobie i potrzebny. Chodziło mu o ten kontakt widowni ze sceną, który traktował jako zasadniczy warunek, o to by przedstawienie stało się naprawdę wydarzeniem, a nie tylko rozrywką czy estetycznym przeżyciem. Pan wprowadził to w życie, kierując się własnym instynktem społecznika i organizatora.

JÓZEF PILARSKI — Otóż podam panu tylko dwa przykłady kontaktów, jakie mieliśmy z widownią. Graliśmy, pamiętam, sztukę Rydla „Królewski jedynak". W przerwie przyszedł za kulisy z widowni robotnik i prosi o rozmowę z aktorem, który według roli miał w dialogu zdanie łacińskie. Nie zrozumiał tych słów i prosił o wytłumaczenie co znaczą. Do niego wyszedł Madaliński i długo z nim rozmawiał. Okazało się, że ten robotnik nie opuszcza żadnej naszej premiery i właśnie widzi w naszym teatrze miejsce, gdzie może nauczyć się wielu pożytecznych rzeczy. Dla mnie było ważne, że potraktował nas jako swoich nauczycieli, nie namyślając się wiele poszedł wprost na scenę ze swoim pytaniem, a nie szukał odpowiedzi gdzie indziej.

Innym razem wystawiliśmy „Małkę Szwarcenkopf" Zapolskiej. Sztuka miała powodzenie wprost wyjątkowe: wytrzymała sto pięćdziesiąt przedstawień. W roli Małki występowała Bronisława Bronowska. Któregoś dnia weszła ona do sklepu, żeby kupić materiału na suknię, wybrała i chce płacić, a sprzedawczyni mówi do niej „Zechce pani — dosłownie to powtarzam — zechce pani przyjąć to jako prezent, widziałam panią w roli Małki i nic od pani nie wezmę". Bronowska była zaskoczona, wzruszona, oczywiście sprzeciwiała się, ale nic nie pomogło — w końcu musiała ten wyraz wdzięczności przyjąć. Takich, panie dzieju, mieliśmy widzów.

— A jak długo istniał Teatr Popularny pod pana kierownictwem?

JÓZEF PILARSKI — Sześć lat, panie, sześć lat — od 1923 do 1929 roku.

— I jakże to się stało, że teatr tak rzeczywiście popularny został zlikwidowany?

JÓZEF PILARSKI — To cała historia. W tamtych latach Teatr Polski na Cegielnianej — obecnie teatr im. Jaracza — był teatrem miejskim pod dyrekcją Bolesława Gorczyńskiego. W roku 1929 Gorczyński ustąpił, a jego miejsce na jeden sezon zajął Karol Adwentowicz. Adwentowicz od razu zainteresował się Teatrem Popularnym. Jeszcze w Krakowie, w roku 1903 prowadził on scenę robotniczą. Więc pewnego dnia, przyjeżdża do mnie, a ja siedziałem właśnie w biurze teatru. Znałem go tylko ze sceny, jak i on mnie. Powiada, że chce ze mną mówić i proponuje z miejsca połączenie pod jedną dyrekcją — jego i moją — obu teatrów: Miejskiego i Popularnego. Zgodziłem się bez namysłu. A nazajutrz prosi mnie do siebie sam Kazimierz Poznański i mówi, że słyszał o takiej propozycji, ale tak nie będzie, bo dyrekcję Teatru Popularnego obejmie Gorczyński. Do tego czasu ani administracja Poznańskich, ani sam fabrykant w sprawy teatru nie wtrącali się, ale sala należała do nich. Mnie to tak dotknęło, oburzyło po prostu, że rzuciłem wszystko i na cały sezon wyjechałem na wieś. Nie chciałem słyszeć o scenie. Tyle włożyłem sił, energii, serca w ten teatr! Jeszcze teraz, po tylu latach, gdy o tym wspominam — nie mogę się opanować.

— Nie mówmy więc o tym. Przypuszczam, że to nie było tylko „widzimisię" Poznańskiego. Teatr pana z pewnością nie odpowiadał mu w samym założeniu. Coś słyszałem o tym, Gorczyński szybko to zmienił, zaczął wystawiać farsy i szkoła kształcąca robotników skończyła się. Ale zmieńmy temat. Ma pan, panie Józefie, jako jubilat o wiele więcej przyjemnych wspomnień.

JÓZEF PILARSKI — Wypomina mi pan mój jubileusz. Owszem mam pewne wspomnienia, właśnie i a propos jubilatów. Pamiętam, w roku 1921 przyjechał do Łodzi na gościnne występy Wincenty Rapacki ze swoim wnukiem Jerzym Leszczyńskim. Obchodził on wtedy 60-letni jubileusz pracy scenicznej. Po przedstawieniu, jak zwykle, kwiaty, przemówienia. Staruszek siedział w fotelu, a cały zespół teatru stał, otaczając go, zwrócony do widowni. Wszyscy czekali co też powie. Leszczyński nachylił się i szepcze: „Dziadku, niechże dziadek coś im powie". Cisza, jubilat siedzi nieporuszony. „Dziadku — nalega wnuk — niechże dziadek powie kilka słów przynajmniej". „A co ja im powiem?" „Dziadku, wypada coś powiedzieć, podziękować". Wtedy Rapacki wstaje, zbliża się do rampy, kłania się w pas i mówi do widowni: „Bóg zapłać". Potem wraca na swoje miejsce. Tu dopiero zerwała się tak zwana burza oklasków..

Rozmawiał: L. GOMOLICKI

WSPOMNIENIA I LISTY

Okres żdanowowski nie sprzyjał tego rodzaju publikacjom. Jedne postacie należało przemilczeć, inne monumentalizować i pokrywać brązem. Nic więc dziwnego, że od kilku lat obserwujemy pojawianie się licznych memuarów, omawiających ludzi i zdarzenia z dalszej i bliższej przeszłości. Dotyczy to nie tylko pamiętników z lat wielkiej wojny, ale także i działalności społecznej, literackiej. Wspomnienia Erenburga zdobyły sobie szczególnie szeroki rozgłos.

Parę lat temu wydano obszerny tom korespondencji, dotyczącej Majakowskiego. W 1963 roku ukazał się 731-stronicowy tom: „Majakowski we wspomnieniach współcześników".

Ilia Ilf i Eugeniusz Pietrow, autorzy doskonałych powieści i felietonów, należą obok Michała Zoszczenki do najbardziej znanych pisarzy satyrycznych. Kto z pilniejszych i polskich czytelników nie zetknął się z postacią „wielkiego kombinatora" Ostapa Bendera? Trzeba powiedzieć, że właściwie aż do tąd wymienieni pisarze nie znajdują godnych siebie następców.

Był czas, gdy niechętnie przypominano ich twórczość, ograniczano wybory wznawianych tomów.

W ub. roku ukazał się duży tom „Wspomnień o Ilii Ilfie i Eugeniuszu Pietrowie".

Ilia Ilf (1897—1937) i brat Walentyna Katajewa, Eugeniusz Pietrow (1903—1942) pisali niejako na bieżąco, na aktualne w sposób gazetowy tematy, ale zdolność do uogólniania sprawiła, iż stali się interesującymi świadkami swojego czasu, a ich artyzm jest ciągle żywy. Na przykład akcja „Dwunastu krzeseł" rozgrywa się w 1927 roku, w roku pracy nad powieścią. W 1939 roku pisał Pietrow do jednego ze swoich korespondentów:

„...pamiętajcie o jednym — żadne wymyślania krytyków nie mogły, nie mogą i nigdy nie potrafią zniszczyć utworu, napisanego z prawdziwym talentem; żadne pochwały krytyków nie mogły, nie mogą i nigdy nie potrafią ocalić dla literatury utworu nieudolnego"...

Tom przynosi ponad dwadzieścia szkiców, należących do satyryka W. Ardowa, karykaturzysty B. Jefimowa, do K. Paustowskiego, K. Simonowa, I. Erenburga. Znakomitego aktora I. Iljińskiego, felietonisty G. Ryklina i in. Admirał I. Isakow opowiedział o wyprawie Pietrowa, jako korespondenta wojennego, do oblężonego Sewastopola, o ostatnich niemal godzinach życia pisarza.

Prawie wszyscy autorzy nawiązują do niezwykłej umiejętności pisarzy, pozwalającej na ujrzenie i ujawnienie tego, co w życiu jest komiczne, śmieszne, a bez czego nie da się mówić o twórczości satyrycznej.

Jako drugą cechę wymieniają autorzy wspomnień poczucie obowiązku obywatelskiego, zainteresowanie najrozmaitszymi sprawami życia, niechęć do wszelkich postaci zła.

Podkreśla się także wielkie wymagania pisarskiej spółki, stawiane własnej pracy, maksymalne zaangażowanie wszystkich umiejętności. W jednym z listów pisze Pietrow:

„...dobrze wiedzieliśmy, że czytelnik nie będzie pobłażliwy, że trzeba pisać wykorzystując całą siłę, trzeba pracować nad każdym słowem, unikać schematów, trzeba każdego ranka budzić się z myślą, że niczego się nie zrobiło, że na świecie jest Flaubert i Tołstoj, jest Gogol i Dickens..."

Niektórzy ze wspominkarzy piszą także o autentycznych prototypach bohaterów Ilfa i Pietrowa, co pozwala na lepsze zrozumienie procesu rodzenia się satyrycznego obrazu, na uświadomienie relacji między „faktem" a „zmyśleniem"...

W tym roku ma się ukazać dwutomowe wydanie listów autora „Młodej Gwardii". Edycja przyniesie ok. 700 listów, większość z nich będzie drukowana po raz pierwszy. Odnoszą się one do trzystu adresatów, wśród których znajdowali się: W. Weresajew, M. Priszwin, L. Leonow, K. Fiedin, R. Rolland, N. Hikmet... Do adresatów należą także towarzysze z wojny domowej na Dalekim Wschodzie, czytelnicy, działacze.

W listach Fadiejew porusza najrozmaitsze sprawy — polityczne i literackie, teatralne i społeczne. Notuje krajobrazy i charakteryzuje ludzi, opowiada o swojej twórczości i zamiarach, wspomina młodość, mówi o niepowodzeniach dotyczących powieści „Czarna metalurgia", wreszcie o swojej ciężkiej chorobie, coraz częściej odrywającej go od życia.

Jako uzupełnienie do pięciotomowego wydania utworów Jesienina, wyd. „Moskowskij Rabocżij" zaplanowało tom wspomnień o tym wciąż popularnym poecie. Wydawnictwo zwróciło się za pośrednictwem prasy z prośbą o nadsyłanie wspomnień. Tom będą opracowywać A. Kozłowskij, K. Zielińskij, J. Prokuszew oraz dwie siostry tragicznie zmarłego w wieku lat trzydziestu poety.

(Opr. h.)

IWASZKIEWICZ

Cztery strony ostatniego numeru „Kultury" poświęcone są twórczości Jarosława Iwaszkiewicza; to przecież 70-lecie urodzin i 50-lecie pracy twórczej. O Iwaszkiewiczu — człowieku teatru pisze więc Jan Kreczmar, o Iwaszkiewiczu — prozaiku Janusz Wilhelmi, o Iwaszkiewiczu-redaktorze pisze Lesław Bartelski, o Iwaszkiewiczu-poecie Hieronim Michalski. I wreszcie: mówi sam Iwaszkiewicz. O sobie:

„Widzę tylko dwie zasadnicze linie, to znaczy poezję i prozę. A jeśli chodzi o wszystkie rzeczy inne, to nie przywiązuję do nich wagi. Jeżeli mówi się o mojej krytyce literackiej, to nie mam żadnej pretensji, żeby być krytykiem. (...) To właśnie uważam za te swoje dwa zasadnicze pnie: poezja i proza. A te wszystkie inne rzeczy to są już kwiatuszki, listeczki, na tych pniach, do których ja specjalnej wagi nie przywiązuję".

O literaturze:

„Wymaga się od naszej literatury współczesnej, żeby odbijała naszą rzeczywistość, pewne jakieś ramy tej rzeczywistości, ale literatura to żywioł, to są fale, na tym mienieniu się tych fal polega całe jej piękno i oczywiście nie może ona, jak spokojne lustro, odbijać tego brzegu, który jest już ustalony, ustanowiony".

O młodych:

„I sądzę, że jest bardzo dużo młodych pisarzy, którzy zapowiadają się interesująco, już nie mówiąc o poezji, w której jest rzeczywiście duży urodzaj. W ostatnich rzeczach, które wychodzą na świat, jest znacznie mniej zapatrzenia się na wzory amerykańskie, które przez jakiś czas tak bardzo ciążyły, czy nawet na te francuskie, które mniej ciążyły. Jest cały szereg pisarzy, którzy dają obraz naszego życia i już nie przeczerniają tego obrazu, tak jak to było jeszcze parę lat temu".

CZYM JEST EGZEMPLARZ?

„Polityka" (nr 8) drukuje rozmowę z Janem Świderskim, przeprowadzoną przez Krystynę Nastulankę.

„Wbrew pozornym rozbieżnościom — mówi znany aktor — wszystkie moje zainteresowania, również pedagogiczne, mają jedno wspólne źródło: niezmiernie pasjonuje mnie sztuka aktorska, konkretnie zaś — przywiązuję ogromną wagę do warsztatu aktorskiego. A wydaje mi się, że dzisiaj — mimo snobistycznego zapotrzebowania na ciekawostki teatralne, gdzie triumf sztuki nie zawsze zależny jest od aktora — teatr musi zwrócić się do aktora i oprzeć się na aktorze właśnie".

Trudno się dziwić Świderskiemu, jest przede wszystkim aktorem, teatr musi się zwrócić do aktora, powiada, przyznajemy mu rację. Ktoś inny powiedziałby zapewne, że teatr musi zwrócić się przede wszystkim do pisarza. Ktoś inny czyli pisarz. Ktoś inny powiedziałby zapewne, że teatr musi zwrócić się przede wszystkim do reżysera. Ktoś inny czyli reżyser teatralny. Teatr współczesny bardzo dziwną zdaje mi się być instytucją: kiedyś spektakle robiło się dla widzów i teatr — teatr, a więc pisarz, reżyser, aktor, scenograf — zwracał się do widza właśnie. Dziś spektakle robi się dla aktorów, dla tekstu, dla scenografa. Każdy ciągnie do siebie, każdy chce być pierwszy. Spór trwa od lat i żadna ze stron nie jest, jak się zdaje, skłonna do ustąpienia. Świderski — choć wiemy przecież, że jest dyrektorem jednego z niewielu teatrów, w których obowiązuje szacunek dla tekstu i dla autora — nie zamierza jednak ustąpić ani o krok. Czym jest egzemplarz — pyta — który otrzymuje aktor? I odpowiada.

„Utrwalonym zapisem tego, co aktor mówi. Ale działanie słowne jest wynikiem całokształtu działań. To jest trochę tak, jak w znanych zabawach dziecięcych, gdzie w jakimś zadaniu wykropkowane są pojedyncze litery, trzeba je znaleźć, by odczytać odpowiednie słowo. W sztuce dane są słowa, tekst, który trzeba wypełnić związkami przyczynowymi, co z kolei wymaga dokomponowania fikcyjnych okoliczności, nie podanych w sztuce".

Czym jest egzemplarz? — spytajmy i my. Jest przede wszystkim utrwalonym zapisem świata, dokonanym przez autora dla teatru: dla teatru, a więc dla tych, którzy ów świat zrealizują, a więc dla tych, którzy ów świat będą oglądać. Z tą prawdą — może i przykrą — ludzie teatru, aktorzy, reżyserzy, scenografowie winni się jednak wreszcie pogodzić.

Boileau

Jarosław Iwaszkiewicz

70 LAT ŻYCIA
50 LAT TWÓRCZOŚCI

Dobrym poetą jest ten, czyje wiersze czytamy po wielokroć, chętnie przyswajamy je naszej pamięci, wzruszamy się nimi, podsuwamy innym do czytania. Dobry prozaik to taki, którego utwory, raz przeczytane, idą za nimi przez całe życie, niepokoją nas, zmuszają do rozmyślań, stanowią cenną pozycję w inwentarzu naszych wartości emocjonalnych. Dobrym dramatopisarzem skłonny byłbym nazwać autora, którego utwór (lub utwory) radzibyśmy widzieć co jakiś czas w teatrze, które oglądamy z przyjemnością i osobistym zaangażowaniem.

Do takich pisarzy należy z pewnością Jarosław Iwaszkiewicz. Do dziś mam w pamięci strofy jego wierszy z „Lata 1932" jak na przykład:

Ja tylko tak udaję,
Że się nocy nie boję,
Kiedy w moim pokoju
Przed czarnym oknem stoję.

Albo:

Nie kuś mnie pomywaczko zielonych talerzy,
Bo dziś jestem zmęczony, trzeba spocząć trocha;
Bo jeśli kochać, to już jak należy —
Bo kto nie całkiem kocha, ten wcale nie kocha.

Zestarzało się sporo wierszy wcześniejszych i późniejszych różnych poetów (również Staffa i Tuwima), a te wiersze nie utraciły nic ze swej świetności, ich prostota, całkowite odpatetycznienie mają wiele wspólnego ze współczesną poezją, której przecież obce są wszelkie poetyczności, barokowe ozdóbkarstwo itp.

Ale mają one i coś ponad to jeszcze. Wiersze Iwaszkiewicza odznaczają się komunikatywnością — i to zarówno te dawne, jak i te najnowsze z tomu „Jutro żniwa". Prawdziwy poeta nie boi się słów prostych, zwyczajnych. Iwaszkiewicz jest poetą prawdziwym, poetą wybitnym. Jest też znakomitym tłumaczem wierszy obcych, choć nie przekładał ich nazbyt wiele. Ale i to, co ma w swoim dorobku przekładowym wystarczy, by móc ocenić bogactwo jego talentów i umiejętności. Wiersze Pawła Valery, Jeana Cocteau, Stefana George, Anny Achmatowej i innych, przez Iwaszkiewicza polszczyźnie przyswojone, są dopełnieniem i pomnożeniem obfitości jego własnej poezji. A jego opowiadania i powieści? Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie zrobiła na mnie, młodym chłopcu, czytana jeszcze przed wojną nowela „Zygfryd". Ileż uroku zawiera w sobie „Brzezina", pełna deszczu, brzóz, lata, całej tej polskiej przyrody, narysowanej lirycznie i miękko. Wspomnę znakomitą „Różę", „Kongres we Florencji", „Bitwę na równinie Sedgemoor", „Kwartet Mendelssohna". Iwaszkiewicz uchodzi za mistrza noweli polskiej. Jest nim niewątpliwie. W żadnej antologii noweli europejskiej nie powinno brakować jego utworów. O polskich antologiach nie mówię, bo to się rozumie samo przez się, że żadna z nich nie może bez niego istnieć. Niektórzy krytycy zżymają się na powieści Iwaszkiewicza. Że niby szwankuje kompozycja, że rozgadane itp. Nie podzielam ich zdania, chociaż nie jestem krytykiem (a może właśnie dlatego). „Czerwone tarcze" są powieścią wzorcową o nienagannej kompozycji, z wyrazistymi postaciami, napisane językiem pełnym głębokiego liryzmu. Język Iwaszkiewicza to temat do dysertacji. Z pozoru niedbały, jest w najlepszym tego słowa znaczeniu językiem potocznym, artystycznie przemyślanym. Nie wiem, czy pisanie Iwaszkiewiczowi przychodzi łatwo, czy z trudem, a zresztą nie w tym rzecz. Rilke twierdził, że język, który męczy nas przy czytaniu, dowodzi małego talentu autora. Otóż język i styl utworów Iwaszkiewiczowskich nie są męczące. Mnie osobiście proza Iwaszkiewicza bardzo odpowiada. „Sławę i chwałę" czytałem z dużym zainteresowaniem i jeszcze nieraz będę do niej wracał. Autor zawarł w tych trzech tomach historię losu polskiego. Jest to książka mądra, historyczna i współczesna zarazem, dająca obraz życia człowieka i jego kraju, opromieniona żalem za przeszłością, ale i pełna wiary w przyszłość. W „Sławie i chwale" kryje się wszystko to, co stanowi istotę filozofii pisarskiej jej autora.

Widziałem niedawno w telewizji „Lato w Nohant". Podobała mi się ta sztuka tak samo jak niegdyś, gdym oglądał ją w teatrze. Mogę do niej wracać, za każdym razem poddaję się jej urokowi. A przecież nie jedyna to sztuka Iwaszkiewicza. Napisał jeszcze „Wesele pana Balzaca", „Kochankowie z Werony", „Odbudowa Błędomierza". Przekładał również sztuki obce, francuskie i angielskie, prozę rosyjską i duńską.

Ale i na tym nie wyczerpuje się bogactwo jego dorobku. Iwaszkiewicz jest autorem książek o Chopinie, Bachu i Szymanowskim, wielokrotnie też na łamach pism zabierał głos na tematy muzyczne. Pisze szkice i eseje o pisarzach, książkach, podróżach. Redaguje „Twórczość", a kiedyś był redaktorem „Nowin literackich". Wreszcie działa jako poseł na Sejm i aktywny uczestnik Światowej Rady Pokoju. Pełnia, można by rzecz, renesansowa. I tak jest w istocie. Ostatni to chyba w Polsce pisarz - uniwersalista, ciekawy życia i ludzi, obdarzony wielkim zmysłem obserwacji, a przy tym wykształcony i oczytany.

Ponieważ obchodził on niedawno siedemdziesięciolecie urodzin i pięćdziesięciolecie twórczości, mówiło i pisało się o nim z tej okazji zarówno jako o pisarzu, jako też i człowieku. Niech więc wolno będzie i mnie sięgnąć do wspomnień. Parę lat temu odbyliśmy wspólnie z Iwaszkiewiczem podróż do Berlina jako delegaci Związku Literatów Polskich na Kongres pisarzy niemieckich. W podróży ludzie poznają się bliżej i albo zbliżają się do siebie, albo oddalają. Bliższe poznanie Iwaszkiewicza zwiększa jeszcze sympatię do niego. Jest on człowiekiem prostym, bezpośrednim, życzliwym i przyjacielskim. Ma dar rozmowy i dar współżycia z ludźmi. Ma poczucie humoru i nie jest męczący w obcowaniu.

Nie każdy wybitny pisarz posiada na co dzień talenty i umiejętności współżycia z ludźmi. Iwaszkiewicz posiada je w stopniu rzadko spotykanym. I to dodaje mu tym większego uroku.

JAN KOPROWSKI

Flirt z czytelnikiem

List pierwszy, w którym autor prosi, aby go nie posądzać o złośliwość.

Inż. Piotr Szecówka z Krakowa (Konarskiego 47) pisze: „...Jestem inżynierem, a więc nie specjalistą w kierunkach literackich, ale naprawdę przeciętny czytelnik chciałby znaleźć coś zrozumiałego, pięknego i sensownego w naszych czasopismach.

List drugi, w którym autor stwierdza, że ostatnio „zaczyna znów czytać „Odgłosy".

„Nie miałem zresztą i tak zbyt wiele czasu i nadal nie mam — pisze p. Stanisław Podrzycki (adwokat, Łódź, ul. Uniwersytecka 19) — gdyż przede wszystkim muszę myśleć o swej pracy zawodowej". Zainteresowania p. Podrzyckiego na szym regionem (Krośniewicami!) znamy i sądzimy, że w przyszłości nawiążemy z autorem bliższy kontakt. Sprawy poruszone przez p. Stanisława Podrzyckiego a odnoszące się do artykułów Henryka Katza — przekazaliśmy autorowi.

List trzeci, którego nadawca używa pseudonimu „Telewidz z Łodzi":

Oczywiście, p. Telewidz pisze o Telewizji, ale ponieważ jego uwagi mają charakter ogólny i są zaadresowane wyraźnie do naszego „Kącika" telewizyjnego, więc publikujemy je. „Mam kilka uwag w związku z audycjami rozrywkowymi nadawanymi przez ŁOT — pisze p. Telewidz. — W programach tych występują zawsze ci sami wykonawcy i to specjalnie sprowadzani na kilka minut z Warszawy do Łodzi... Cenię warszawskich aktorów, ale na pewno są oni do zastąpienia". Pan Telewidz twierdzi, że w Łodzi mamy aktorów, piosenkarzy i tancerzy, którzy z powodzeniem mogliby występować w TV. „Nie wiem, może wykonawców narzuca Warszawa? Wiem, że inne ośrodki nadają programy w oparciu przede wszystkim o własne siły! Proszę zamieścić ten list w „Odgłosach", co o tym sądzą inni czytelnicy".

Zamieszczamy, ale po raz ostatni... bez podania (chociażby do wiadomości redakcji) nazwiska i adresu!

Notatnik kulturalny

PONIEDZIAŁEK

Dzisiejszy wykład prof. Szczepańskiego na temat zmian w strukturze klasowej Polski choć naszpikowany liczbami był bardzo interesujący. Oczywiście nie jestem w stanie przekazać czytelnikowi ani wymownych liczb (przed wojną inteligencja twórcza liczyła około 10 tysięcy osób — dziś około 50 tysięcy), ani interesujących rozważań na temat zmian w grupach inteligencji i drobnomieszczaństwa, nowej klasy chłoporobotników. Nie jestem w stanie, bo w mojej wersji mogłoby to zabrzmieć drętwo. Dziwię się tylko, że na wykład znakomitego socjologa przyszło zaledwie 25 osób.

WTOREK

„Minęła godzina dwudziesta" — powiedziała pani z Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia. „Minęła właśnie godzina dwudziesta" — zawtórowała pani z Warszawy. I tak już poszło dalej na dwa głosy. Z Łodzi szły „Aktualności poetyckie", z Warszawy „Rozmowa z Aktorem". Słuchałem ze wzrastającym zainteresowaniem — ktoś się wreszcie zorientuje i wyłączy. Ale nie. „Roli poezji nie należy przeceniać" — pouczał p. Stefaniak z Klubu Studenta. „Aktorstwo jest trudnym zawodem" — upierał się aktor z Warszawy. Ponieważ jednak Łódź była nieco głośniejsza, wiem, że „Aktualności" poświęcone były turniejowi jednego wiersza, zorganizowanemu przez Klub Studenta. Nudny był ten tegoroczny turniej. Nie tak to drzewiej bywało — poeci czytywali „tryptyki poetyckie" składające się z czterech części, to i pośmiać się było można. W tym roku nawet decyzje jury były smutne. Co nie znaczy oczywiście, abyśmy kwestionowali pożyteczność tej sympatycznej tradycji.

ŚRODA

Wpadł mi do ręki szkolny zeszyt. Na okładce wyobrażony jest jakiś pan, który jak głosi podpis ma podobno uosabiać Juliana Tuwima. Podobno — ponieważ rysunek przypomina wiele osób, ale, niestety, nie poetę. Sprawa niby błaha, lecz... okładkę w tej formie zaproponowało Ministerstwo Oświaty i nakład zeszytu wynosi milion egzemplarzy. Widać nie ma w Warszawie plastyka, który opanowałby na tyle rzemiosło, aby narysować podobiznę — po prostu podobną, albo nie ma w Ministerstwie Oświaty urzędnika, który widziałby choć raz fotografię Tuwima.

CZWARTEK

Do hali sportowej na eliminacje „Zgaduj-zgaduli" pn. „Wszystko o Ewie" przyszła setka amatorów. Amatorów mówię — bo przeważali mężczyźni, przekonani, że wszystko o Ewie wiedzą. I rzeczywiście. Przez sito eliminacyjnej klasówki przeszło dwu mężczyzn. Oblali oni natomiast egzamin ustny, czyli drugi stopień eliminacji. Czy znacie nazwisko kosmonautki-astrofizyka, która miała polecieć w kosmos zamiast Tiereszkowej? Oni też nie znali. Komisja zatem doszła do wniosku, że Łodzi na eliminacjach centralnych nie ma kto reprezentować. Ja natomiast doszedłem do wniosku, że pytania były trudne. Nie mam za złe — broń Boże. — W końcu lepiej chyba jeśli uczestnik złamie się na pytaniu trudnym, niż gdy referuje przed milionami radiosłuchaczy problem z gatunku — kto napisał „Pana Tadeusza". I to często referuje błędnie. Więc niech zgaduj-zgadule będą trudne. Niech staną się domeną hobbystów-szperaczy, a nie ignorantów z tupetem.

PIĄTEK

Może jestem zacofany — ale abstrakcyjna grafika jakoś mi zupełnie „nie leży". Że nie jestem przy tym unikatem okazało się na dzisiejszej aukcji malarstwa i grafiki w Klubie Dziennikarza. Na siedem grafik były tylko dwie abstrakcje i nikt ich nie kupił, nikt nie podbił śmiesznie niskiej (50 zł) ceny wywoławczej. Za to o pejzaż Płóciennika, architekturę Rózgi, czy „Piotrkowską" Jóźwiaka szły zażarte boje. Znaczy to, że albo się nie znamy na sztuce, albo „nie dajemy się zwariować". Z czterech prac malarskich najbardziej podobał mi się Józefa Skrobińskiego pejzaż łódzki — zakupiony przez dyrektora Wydawnictwa Prasowego. Chciałbym go mieć, ale cóż... licytować się z własnym dyrektorem? Finansowo bym zresztą nie sprostał.

SOBOTA

Dzień wypełniony atrakcjami jak rzadko kiedy. Przed południem działacze kulturalno-oświatowi ponarzekali sobie na naradzie z udziałem kierownika Wydziału Kultury KC partii — Wincentego Kraśko i wiceministra kultury Zygmunta Garsteckiego, wieczorem natomiast fetowano pięciolecie kina Studyjnego. Z kulturą filmową nie jest u nas wbrew pozorom najlepiej. Masowy widz wie zazwyczaj o kłopotach osobistych trzeciorzędnych gwiazdek — nie pamiętając z reguły nazwisk reżyserów. Dlatego chyba owe 715 filmów plus prelekcje zaprezentowane pół tora milionowi widzów to nie tylko atrakcyjna rozrywka, ale i rzetelna robota kulturalna.

NIEDZIELA

Jakże zmieścić w krótkiej notce to piękne przeżycie. Jak przekazać czytelnikowi smutną opowieść o niespełnionej miłości. Jak zamknąć w słowach piękno salomonowych „pieśni nad pieśniami" — wzruszających i patetycznych na tle stylowej muzyki, na tle synagogalnych pieśni. Danuta Michałowska artystka-fenomen fascynuje i wzrusza — co chwilę inna — pogodna i żartobliwa, liryczna i sentymentalna... Było coś wstrząsającego w tekstach Szolem Alejchema, w sugestywnej grze Michałowskiej — z Małej Sali wychodziliśmy zamyśleni i smutni.

J. W.

warto obejrzeć

TV

Pomidorowa zawsze w poniedziałek, barszcz we wtorek, w środę jarzynowa — czy zauważyliście, drodzy Czytelnicy, że program telewizyjny (i siłą rzeczy te jego, odgłosowe omówienia) coraz bardziej przypomina monotonny jadłospis barów mlecznych? Poniedziałek już prawie całkowicie składa się ze stałych pozycji cyklicznych: Robin Hood, Eureka, Kino Krótkich Filmów, Teatr — i łódzkie „Łupu cupu", bardziej krzykliwie niż dowcipnie wieńczące to poniedziałkowe, telewizyjne menu; w inne dni cykliczność jest niemniej dotkliwa. Wygląda na to, że (prawdziwie po polsku) telewizja tutaj przesadziła. Stabilizacja stała się monotonią, brak w programie telewizyjnym odmiany, o niespodziance nie śmiem nawet marzyć.

Liczba barów mlecznych powoli, lecz systematycznie maleje. Program telewizyjny na razie ubożeje i serwuje potrawy odgrzewane. Spektakl w poniedziałkowym Teatrze TV będziemy mieli znowu powtórzony z telerecordingu — piszę „znowu", bo zaledwie dwa tygodnie temu powtórzono Conrada — Korzeniowskiego. Tym razem (2.III) zobaczymy raz jeszcze komedię G. B. Shawa **„Zaloty wiejskie"** w reżyserii Jerzego Gruzy. Powtórka w końcu dosyć wdzięczna i ze względu na tekst i aktorów, beniaminków telewizyjnej publiczności, Kalinę Jędrusik i Andrzeja Łapickiego.

„Kobra" ostatnio pojawia się na ekranie co dwa tygodnie w przeplatance z opowiadankami Alfreda Hitchcocka. Trudno powiedzieć, który z nich lepszy, Hitchcock autentyczny — czy nasz rodzimy, z „Kobry" rodem, Słotwiński Dziś, w czwartek, 27 lutego, „Kobra" pokaże **„Pantofelki z krokodyla"**. Wystąpią m. in. Ewa Krzyżewska i Edward Wichura. Jego poczciwa, pyzata vis comica była już twarzą mordercy i szantażysty, może dziś wreszcie Wichura okaże się porządnym człowiekiem.

I trzeci spektakl bieżącego tygodnia, **„Rozmowy i milczenie"** Michała Toneckiego w reżyserii Piotra Pawłowskiego, nadany z Łodzi, a firmowany przez Studio 63 (środa, 4.III).

Filmy jak zwykle stare, ale w tym tygodniu jeden bardzo jary: znakomite radzieckie **„Lecą żurawie"** Michała Kalatozowa z Tatjaną Samojłową (w poniedziałek rano i we wtorek, 3 marca wieczorem).

Interesująco wygląda średniometrażowy telewizyjny film czechosłowacki **„Nienawiść"**, przewidziany na piątek, 28 lutego. Widzieliśmy już „Proroka", uroczą i mądrą historyjkę o buchalterze, któremu znajomość liczb dała nieomylną orientację w życiu — w ogóle głośno ostatnio o renesansie, jaki przeżywa kinematografia czechosłowacka; zatem szczerze do „Nienawiści" zachęcam (korekto, nie zgub tu cudzysłowu!).

— Najweselej w bieżącym tygodniu zapowiada się cykliczny program rozrywkowy **„Poznajmy się"** wg scenariusza i w reżyserii Jerzego Gruzy (sobota, 29.II). W roli najgłówniejszej — Bogumił Kobiela; jego asystent

Publicysta telewizyjny: przeraża mnie myśl, że mówię do kilku milionów widzów.

— Jacek Fedorowicz. Tym dwom sekundują: Bernard Ładysz, Roman Kłosowski, Bohdan Łazuka, Martin Chanel, Edward Dziewoński, Elżbieta Ryl-Górska i Włodzimierz Zwirlicz. Realizacja telewizyjna Elżbiety Kiekow.

Najśliczniejsze przeżycia obiecuje natomiast balet Tadeusza Bairda **„Sonety miłosne"**, który w ramach interwizji obejrzymy w sobotnie popołudnie.

Kraków wystąpi w bieżącym tygodniu z programem publicystycznym o nieco pretensjonalnym, chaplinowskim niemal tytule **„Światła małego miasta"** (poniedziałek, 2.III). Odnotowuję ten program, jako że dotyczy przyszłości Zakopanego — miasta, które jak dotąd na szczęście jeszcze jest małe. Tę przyszłość każdy z miłośników Zakopanego wyobraża sobie inaczej, zatem można się spodziewać, że program jeśli nie rozpali naszych namiętności, to przynajmniej pobudzi do myślenia.

W niedzielę, 1 marca, jak w każdą pierwszą niedzielę miesiąca teleturniej **„Wielka gra"**. Mam zaszczyt pisać o nim już po raz trzeci. Lecz czynię to z coraz mniejszym przekonaniem, bo coraz mniej w tym teleturnieju „wielkiej gry", więcej za to słabiutkich, wątłymi głosikami zawodzonych piosneczek. Rozumiem, że piosenkarze umożliwiają nam wytchnienie w trakcie emocji, których dostarczają poszczególne rozgrywki, ale źle się dzieje (i w życiu i w każdym programie telewizyjnym), gdy wytchnienie góruje nad emocjami, antrakt — nad prawdziwą akcją.

J. M.

bestsellery tygodnia

FILM

WŁÓKNIARZ — „Pechowiec na prerii"	20.133	widzów
POLONIA — „Julio, jesteś czarująca"	18.723	„

TEATR

NOWY — „Maria Stuart" Słowackiego (4 spektakle)	2.600	„
„Most" Szaniawskiego (2 spektakle)	750	„
JARACZA — „Zaproszenie do zamku" Anouilha (3 spektakle)	1.539	„
„Nagi król" Sartre'a (3 spektakle)	1.400	„
POWSZECHNY — „Szkoła obmowy" Bogusławskiego (2 spektakle)	1.070	„
„Jaśnie Pan Nikt" Lope de Vegi (3 spektakle)	1.560	„
OPERA — „Verbum nobile" Moniuszki (1 spektakl)	711	„
„Bal maskowy" Verdiego (1 spektakl)	633	„
OPERETKA — „Sensacja w Londynie" Kawana (6 spektakli)	3.880	„
ESTRADA — Mała Sala — Występ B. Michałowskiej — „Pieśń nad pieśniami (2 spektakle)	415	„
FILHARMONIA — Koncert chopinowski (2 koncerty)	1.350	„

warto posłuchać

Naprawdę warto słuchać dobrej muzyki. Za jedyne 10 zł, a są też bilety za złotych pięć, można przez dwie godziny znaleźć się w świecie muzyki i doznawać wzruszeń i przeżyć, niepodobnych do żadnych innych. Wprawdzie można spotkać się z poglądami, że wysłuchanie koncertu tak zwanej muzyki poważnej jest pewnym rodzajem „egocentrycznej mejki", ale to chyba zwykłe nieporozumienie. Żeby nie wdawać się w dłuższe wywody powiem krótko, to raczej współczesna piosenka, ta najbardziej niby to lekka forma muzyki rozrywkowej, jest ponura i smutna, a naprawdę pogodnej muzyki można posłuchać właśnie w filharmonii. Weźmy na przykład chociażby taką **symfonię G-dur nr 88 Józefa Haydna**, którą Arkadiusz Baszton rozpocznie koncerty symfoniczne Filharmonii Łódzkiej w dniach 28 i 29 lutego br. Ileż w niej zdrowego humoru, dowcipu i radości życia.

Napisana około r. 1787 a więc w okresie pełnego rozkwitu twórczości Haydna Symfonia G-dur tzw. „Oxfordzka" jest doskonałym przykładem klasycznej pogody, równowagi i zegarmistrzowskiej niemal precyzji rzemiosła kompozytorskiego. Haydn rzemieślnikiem? — Żył jeszcze w czasach, w których dobry rzemieślnik musiał być artystą. To właśnie świetne rzemiosło pozwoliło tworzyć tak wiele i tak dobrze. — Pracował bardzo solidnie i dlatego to, co wyszło z jego ręki przetrwało wieki. Samych kwartetów napisał 83, symfonii 104, przy czym na ostateczne ustalenie jego autorstwa czeka jeszcze okrągłe trzydzieści.

Niemałą atrakcją koncertu są dwa wykonania utworów dotychczas niegranych. Jednym będą **liryki do tekstów Safony Andrzeja Hundziaka** (prawykonanie), drugim **Serenada na głos, waltornię i orkiestrę symfoniczną Beniamina Brittena.** Obydwa śpiewać będzie znana śpiewaczka Delfina Ambroziak.

Andrzej Hundziak dał się już poznać publiczności łódzkiej jako autor interesujących „Wariacji na trąbkę i fortepian", wykonanych w ubiegłym roku w ramach I Festiwalu Kompozytorów Łódzkich. Liryki do tekstów Safony na sopran i 10 instrumentów są próbą wyrażenia antycznej poezji nowoczesnymi środkami. Sam dobór instrumentów, potraktowanych kameralnie (altówka, wiolonczela, flet, róg, celesta, bongosy i inne) zakreśla do pewnego stopnia granice obrazu dźwiękowego, każe domyślać się przewagi barw subtelnych, nasuwa pewne skojarzenia z impresjonizmem a także punktualizmem, aczkolwiek kompozytor zastrzega, że nie nawiązuje wyraźnie do żadnej ze znanych technik.

Beniamin Britten jest jedynym współczesnym kompozytorem angielskim o rozgłosie światowym. Nie zawdzięcza go bynajmniej jakiejś supernowoczesności. Ma odwagę pisać językiem konwencjonalnym. „Chcę pisać dla ludzi. Kompozytorzy w ogóle powinni pisać dla ludzi..." — powiedział w jednym z wywiadów. W swym dorobku ma Britten dużą ilość utworów orkiestrowych i wokalnych, oper, baletów, muzyki kościelnej, telewizyjnej i filmowej.

Serenada na głos, róg i orkiestrę smyczkową (1943) jest sześcioczęściowym cyklem do tekstów różnych poetów angielskich, które łączy wspólny temat: noc i jej zjawiska. Cykl rozpoczyna i kończy piękne solo waltorni. Całość przepojona jest wyrafinowaną kolorystyką dźwiękową.

Program uzupełnia dzieło **Ottorina Respighiego „Ptaki" — suita na małą orkiestrę symfoniczną (1928).** Jest on rodzajem nowoczesnego opracowania starej muzyki — kilku klawesynowych utworów dawnych mistrzów włoskich, francuskich i angielskich.

Wśród „Ptaków" Respighiego znalazła się słynna gdakająca **„Kura" Filipa Rameau**, jest też **„Gołąb"**, **„Kukułka"** i oczywiście **„Słowik"**.

A więc — warto posłuchać.

Z. G.

jazz

V NOWY ORLEAN

Nowy Orlean. Legendarna kolebka jazzu. Miasto tak nietypowe, jak muzyka, którą stworzyło. Powstało w 1718 roku za sprawą Francuzów, i przez pierwsze 46 lat swego istnienia spełniało funkcję największej kolonii karnej królestwa.

W 1764 roku Francja odstąpiła Nowy Orlean Hiszpanii, w której władaniu miasto pozostawało przez następne 36 lat do chwili kiedy to Napoleon zmusił swego sąsiada zza Pirenejów do zwrotu zamorskiej posiadłości. W 1803 r. Napoleon prozaicznie sprzedał to kłopotliwe terytorium Stanom Zjednoczonym.

W tym krótkim, niespełna stuletnim okresie swego istnienia miasto podlegało bardzo różnym wpływom. Francuzi, oprócz setek deportowanych z metropolii złoczyńców i obwiesiów najróżniejszego autoramentu, przynieśli także umiłowanie sztuk pięknych i architekturę, wdzięk i tolerancję, humanizm i swoje obyczaje. Hiszpanie narzucili miastu przede wszystkim surowe rygory religii rzymsko-katolickiej. W początkach zaś wieku XIX rozpoczęła się trwała ekspansja amerykańskiego merkantylizmu, przedsiębiorczości, rasizmu i przesądów socjalnych.

Wielki ten tygiel zlepiony z tak różnorodnych tradycji, praw i obyczajów przetapiał w swoim wnętrzu masę ludzką o odległych rasach, pochodzeniach i koneksjach. Francuskich rzezimieszków, wyklętych kleryków i zdegradowanych oficerów sprowadzało tu prawo, hiszpańskich podupadłych szlachciców i awanturników — zakorzeniona w ich pamięci legenda o skarbach krainy Inków, leżącej niedaleko przecież, na południu — amerykańskich wreszcie plantatorów i handlarzy — ciągnęła tu bogata, ilasta, zarośnięta bujną roślinnością kraina obfitości.

Ale ci wszyscy biali stanowili tylko połowę ludności Nowego Orleanu i to nie część tak decydującą o jego charakterze i atmosferze jak jego druga, kolorowa połowa. Tę tworzyli dawni mieszkańcy Afryki — jej Złotego Wybrzeża, Konga, Angoli, Dahomeju, Nigerii, Senegalu czy Gwinei. Przemieszani w przymusowej, niewolniczej drodze z mieszkańcami Martyniki, San Domingo, Gwadelupy i Kuby stanowili 50 procent ludności miasta, liczącego w 1803 roku 10.000 ludzi, a już siedem lat później pomnożonej w dwójnasób. Ludności, która w ciągu następnego wieku miała dać światu nową muzykę — jazz.

ANDRZEJ KRÓLIKOWSKI

warto obejrzeć

TYDZIEŃ W KINIE

Ponieważ zarówno czytelników, jak i autora znudziło już suche zapowiadanie filmów, ponieważ ponadto informację o filmach czytelnik-kinoman znajdzie na bieżąco w dziennikach — proponujemy niniejszym następującą zabawę w totalizatora filmowego: autor typuje filmy na „tak" i na „nie", a także filmy tak zwane „obojętne". Czytelnicy chodzą do kina, sprawdzają zapowiedzi autora, dają wyraz swym uczuciom w obszernych listach do redakcji, a za tydzień autor ocenia własne prognozy.

A więc do dzieła!

W tym tygodniu przewiduję dwa filmy dobre, jeden dostateczny i jeden dyskusyjny.

„BILLY BUDD" — to film dobry, albo może nawet bardzo dobry. To przykład prawdziwej marynistyki, bez fałszywych uroków morskiego romantyzmu. Bohater wprawdzie jest drażniąco dobry, ale bardzo sympatyczny, przystojny i sprawny fizycznie — to mu na pewno zaskarbi sympatię publiczności. Dla tych, którzy lubią awantury, jest w tym filmie bunt załogi, chłosta, bójka na pięści i wiele groźnych błysków noża, a także oczu. Dla miłośników morza i znawców zagadnień żeglarskich — dużo satysfakcji z wiernego odtworzenia obyczajów w Royal Navy XVIII wieku. Dla ludzi, którzy lubią pomyśleć nad tym co oglądają — trudny problem filozoficzny — nierozwiązany do końca. Ale niestety — ponieważ film jest czarno-biały straci zapewne sporą część tych widzów, którzy ponad wszelkie wartości artystyczne przenoszą hałas i pstrokaciznę. Obym się myliła.

Drugi dobry film — to „ROZWODÓW NIE BĘDZIE" — debiut autorski Jerzego Stefana Stawińskiego. Miłe, pogodne, dobrze grane. Prorokuję tu renesans popularności Zbyszka Cybulskiego — w innym stylu, w stylu amanta charakterystycznego, mężczyzny, który już nie udaje smukłego młodzieniaszka.

Film obojętny: „SAMI ZAKOCHANI". Będzie miał dużą kasę i duże powodzenie, bo włoski, bo komedia, bo Jacqueline Sassard („Gwendalina"), bo Marcello Mastroianni. Ale nie łudźmy się, wartości artystycznej toto nie posiada, a film powstał, bo nawet największe gwiazdy chcą sobie czasem zarobić na niewinnej chałturce.

Dyskusyjny film przedstawia nam kino Studyjne „Stylowy". „MUTTER COURAGE" to film niefilmowy, po prostu rejestracja przedstawienia zespołu „Berliner Ensemble", Helena Weigel, Ernst Busch — to są atuty dla znawców teatru. Ale i zwykli zjadacze filmów mogliby to obejrzeć bez szkody dla zdrowia.

E. L.

Fraszki jana Czarnego

CZĘSTO

Często drań popiera drania,
konstytucja nie zabrania.

OD... DO

Od piwa do piwa
życie mu upływa.

„Helena Majdianiec, lat dwa dzieścia, ofiara polskiej kinematografji. A przecież jest to gwiazda filmowa nr 1, skoro grała poważne role w trzech wielkich filmach..(?) Mimo to umiera z głodu.. Nic więc dziwnego, że piękna Helena, wolałaby kręcić filmy w Paryżu..."

To dosłowny tekst komentarza do zdjęcia powyżej, które reprodukujemy za francuskim tygodnikiem filmowym „Cinè-Monde". Czy nasza mała gwiazdka estrady, oszołomiona paradą nagości, jaka zalewa prasę zachodnią, tym zdjęciem chciała dopomóc sobie w karierze, czy to szampan, czy Paryż uderzył jej do głowy? W każdym razie w konkurencji striptisowych piękności, wypadła chyba więcej niż blado, prawda?

ekranik

Alfred Hitchcock szykuje swój 49 coctail filmowy. Tym razem niezawodny mistrz ekranowych sensacji miesza w swym diabelskim tyglu napięcie, psychoanalizę, niepokój i sex. Coctail nazywać się będzie „Marnie". Jest to historia kobiety cierpiącej na zaburzenia psychiczne i kleptomanię na skutek tragicznych przeżyć dzieciństwa. Ocali ją jednak miłość... i pomoc wybitnych psychoanalityków. W filmie grają: bohaterka „Ptaków" Tippi Hedren — piękna, złotowłosa i dystyngowana, półdiablica i półanioł, oraz najnowszy model mężczyzny anno domini 1964 — Sean Connery. Wkrótce Hitch przystąpi do realizacji swego jubileuszowego, 50 filmu. Będzie to — jak sam mówi — pierwszy w jego karierze film bez napięcia. Ale ponieważ przez cały film wszyscy będą jednak czegoś oczekiwać, napięcie zrodzi się samo, bez jego udziału.

* * *

Kiedy jest się wielką gwiazdą nie można liczyć nawet na bezinteresowność i dyskrecję swych wielbicieli. Brigitte Bardot sądziła, że znajdzie bezpieczne schronienie na jachcie i w ramionach bogatego przemysłowca brazylijskiego Boba Zaguri, który miał ją osłaniać przed oczyma i fleszami wścibskich dziennikarzy. Tymczasem Bob skorzystał z okazji, nakręcił filmik z życia BB na jachcie i sprzedał go wielkim południowoamerykańskim magazynom ilustrowanym. Biednej, zawiedzionej gwieździe nie pozostało nic innego jak napisać list protestacyjny i zamieścić go w „znienawidzonej" prasie.

* * *

Carl Foreman, znany scenarzysta i producent amerykański wstąpił w szranki reżyserskie. Przeniósł on na ekran popularny bestseller, powieść Aleksandra Barona „Rodzaj ludzki". Film Foremana nosi tytuł „Zwycięzcy". Zwycięzcami są żołnierze armii alianckiej przebywający swój szlak bojowy od Anglii do Berlina. Ale Foremana nie interesuje sama wojna. Raczej problem komu przypadło w udziale prawdziwe zwycięstwo. Kto co wygrał? „Zwycięzcy" — to historia sześciu wojennych, „słodko-gorzkich" miłości, sześciu klęsk poniesionych przez „zwycięzców". W filmie gra czołówka amerykańskiego i europejskiego aktorstwa, m. in. Jeanne Moreau, Melina Mercouri, Romy Schneider, Rosanna Schiaffino, Elke Sommer, George Hamilton, Eli Wallach, Peter Fonda, Albert Finney, George Peppard i in.

* * *

Redakcja francuskiego miesięcznika „Cinema 64" opublikowała listę 12 najlepszych filmów wyświetlanych na ekranach Francji w r. 1963. Lista ta została ustalona drogą plebiscytu przeprowadzonego wśród czytelników „Cinema 64". A oto 12 najlepszych filmów: „Proces", „Osiem i pół", „Błędny ognik", „Lampart", „Salvatore Giuliano", „Muriel", „Harakiri", „Umrzeć w Madrycie", „Lawrence z Arabii", „Therese Desqueyroux", „Zaćmienie", „Anioł zagłady". Okazało się, że gusty publiczności pokrywają się tym razem z poglądami krytyków, których wybór padł mniej więcej na te same filmy (z dodatkiem paru pozycji mocno „nowofalowych" i naszego „Noża w wodzie").

Produkcja filmowa we Francji zdradza stałą tendencję zniżkową. Dystrybucja też. W roku 1963 we Francji (łącznie z kooprodukcjami) zrealizowano 88 filmów, podczas gdy w roku 1962 — 90 filmów, a w 1961 — 105. Przez ekrany kin francuskich przewinęły się w roku 1963 — 354 filmy premierowe, podczas gdy w roku 1962 zanotowano 379 premier, a w r. 1960 398. Największymi bestsellerami roku były „West-Side Story" i „Podbój Zachodu".

M. K.

Redaguje Zespół — Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79
Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12.
Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy".
Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17.
Zam. 593 III. 64 F-13